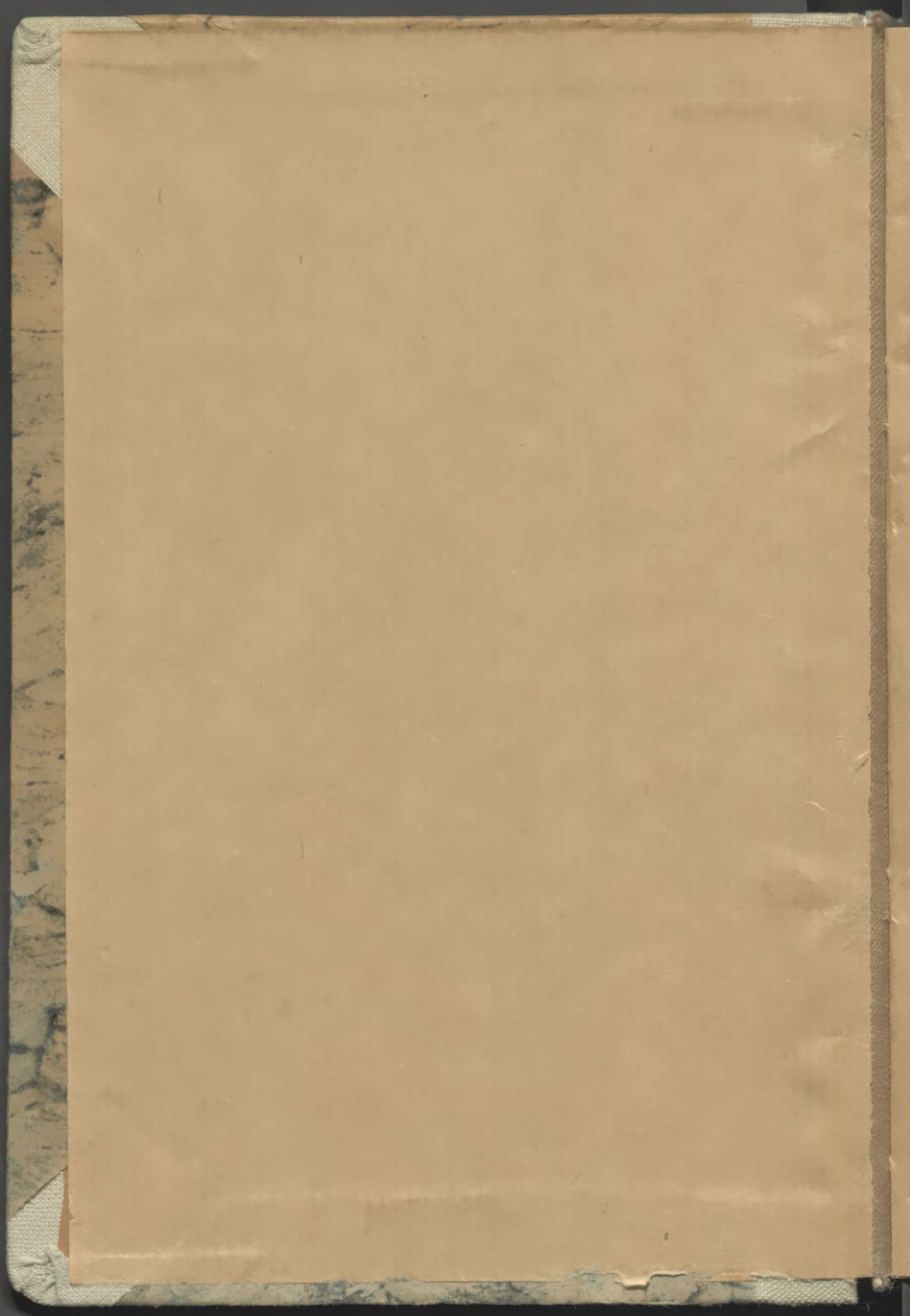
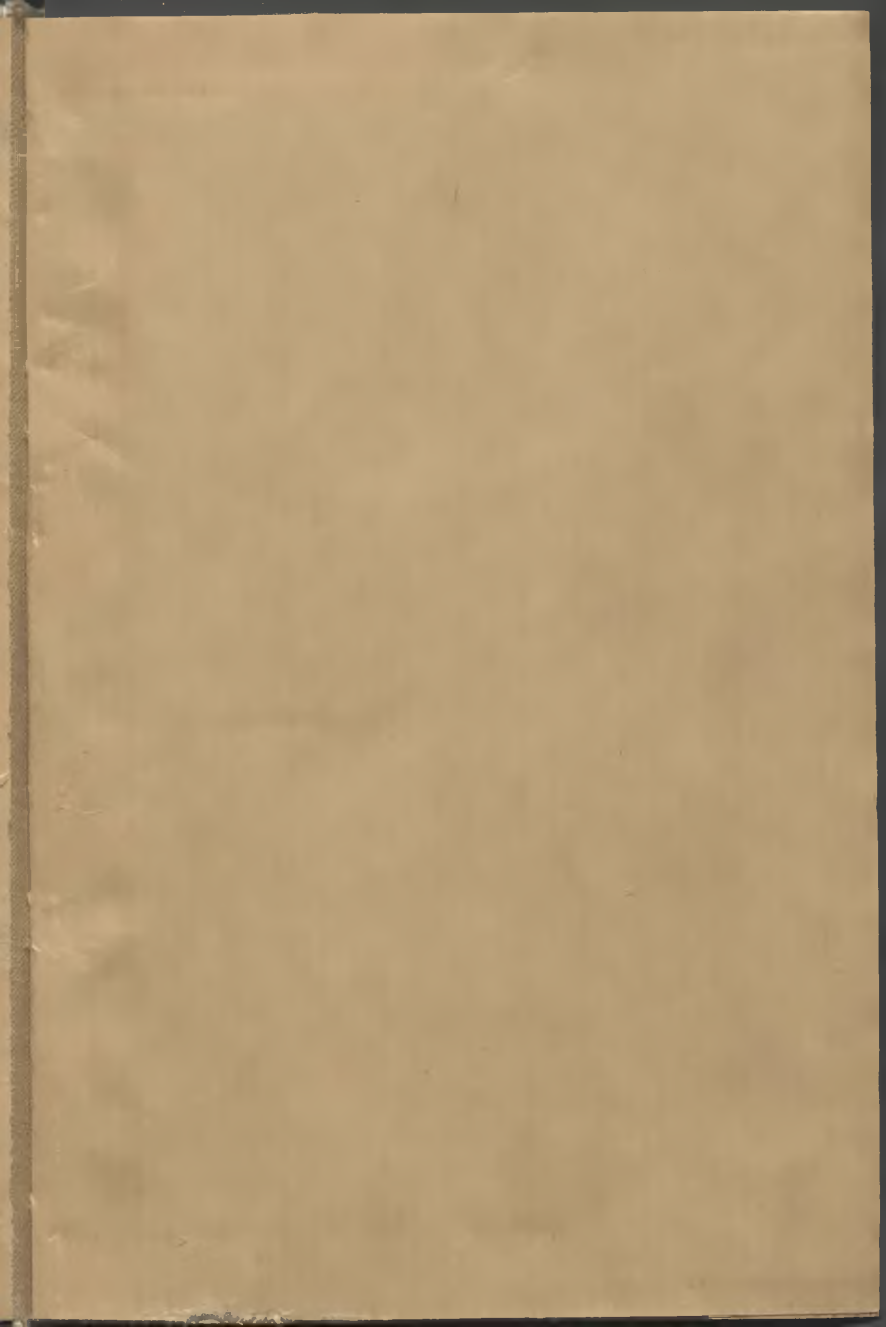
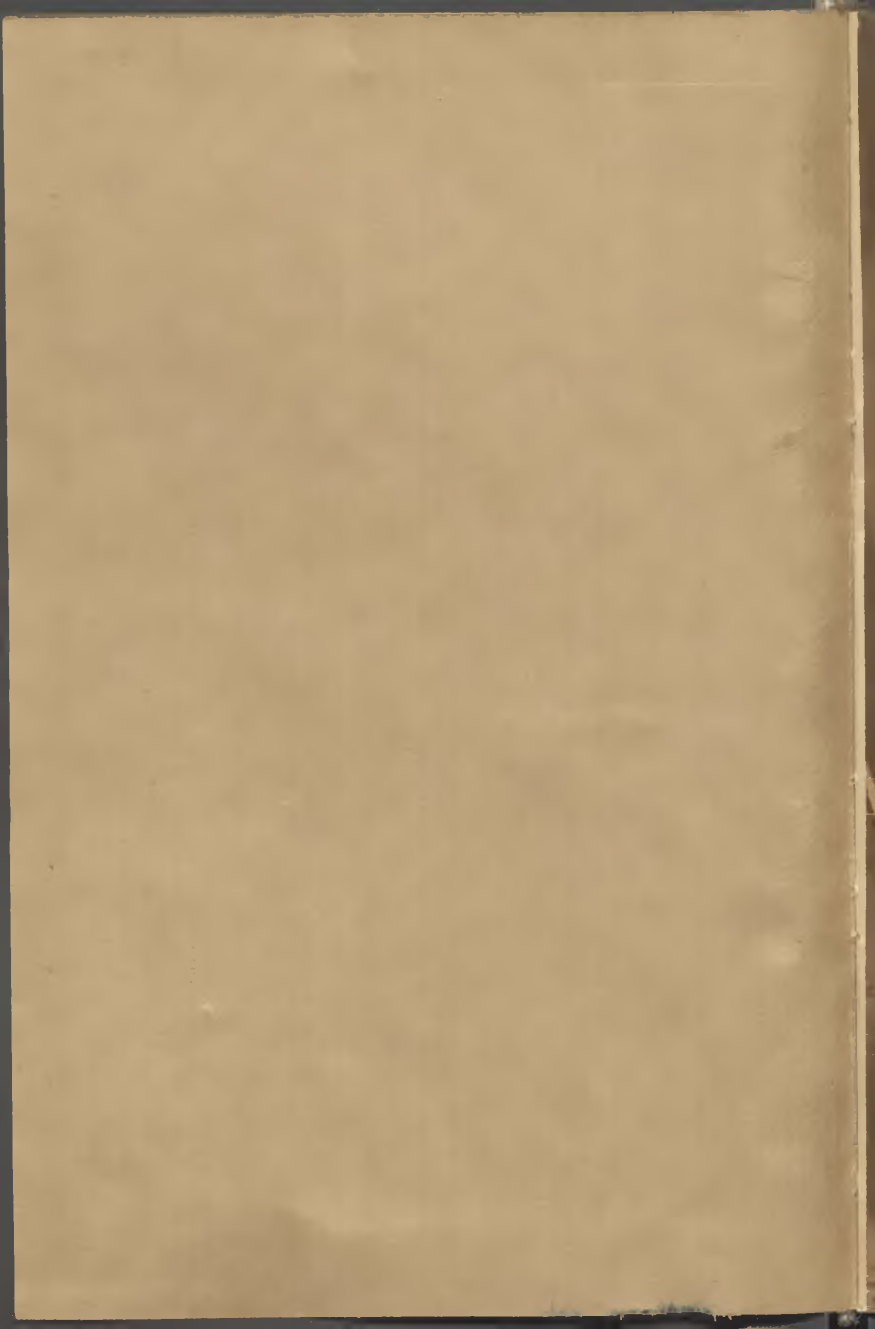


Biblioteka
U. M. K.
Toruń

300 470







U. M. K.
Toruń

300470

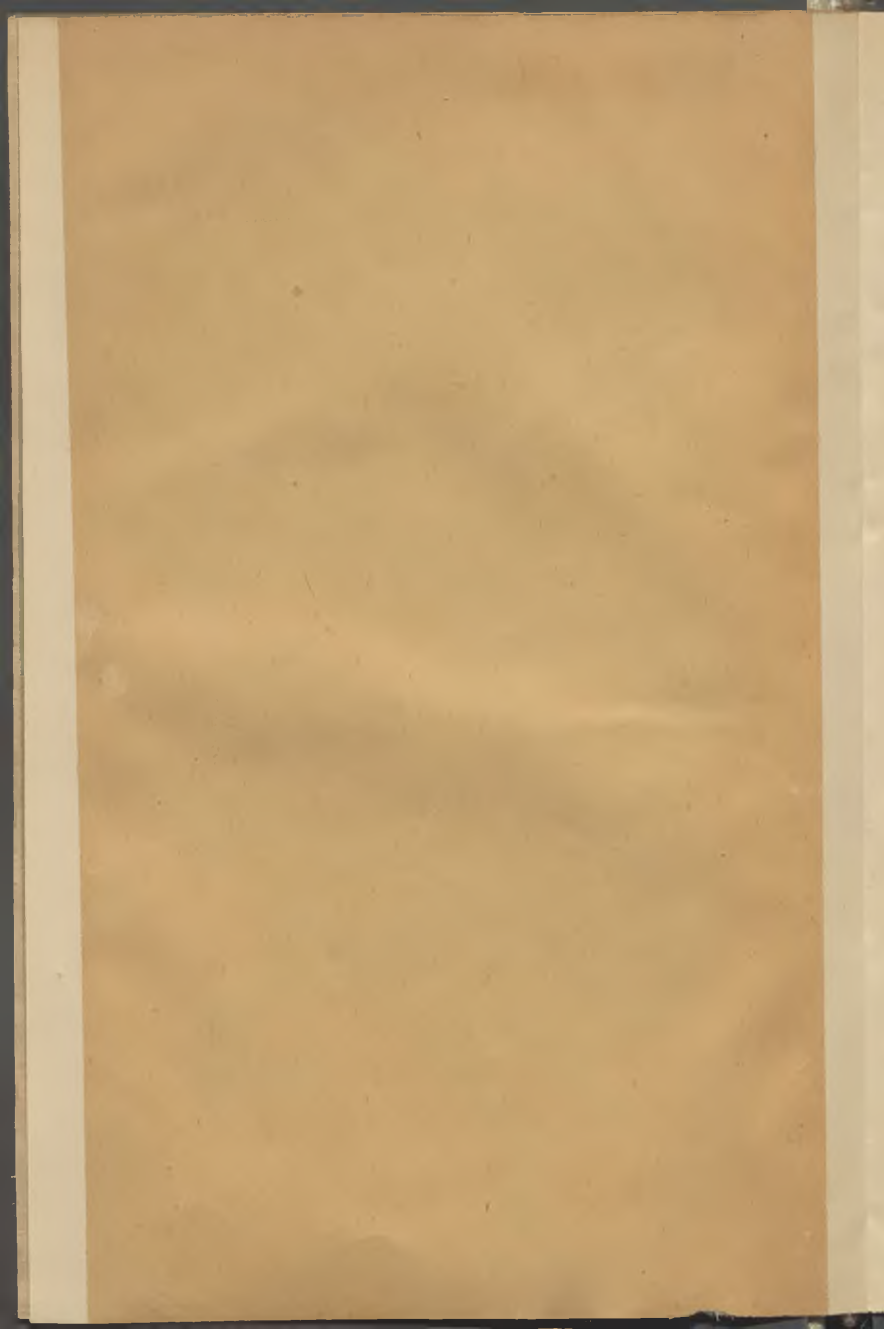
WŁADZY

WARSZAWA

WSPÓŁCZESNA

W
12
obrazkach

TANÓW
T
100



23

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



C 412428

WARSZAWA WSPÓŁCZESNA

WARSZAWA WSPÓŁCZEŚNA

WARSZAWA WSPÓŁCZESNA

W DWUNASTU OBRAZKACH

SZKICOWAŁ

PRZYGODNY

[Zygmunt Wasilewski]

Bar II, 102



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1903

WARSZAWA WSPÓŁCZESNA

W DWUNASTU OBRZASKACH

WARSZAWA

PRZYGOJNY

300470



K. 2389/58

WOL

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
KARLEDEM JONIMYSTA WYDZIAŁOWE

1908

I. Widok miasta.

Rusyfikacya ulic. — Psychologia sztyldów podwójnych. —
Estetyka ulic i ogrodów. — Miejsca ulubione i zanie-
dbane. — Powiśle. — Praga. — Św. Floryan.

Mało kto z mieszkańców Lwowa miał możliwość zwiedzenia Warszawy. Niestety, nie każdy, kto mógł ją poznać, czuł potrzebę, z tych bowiem nawet Lwowian, którzy wiele podróżują po Europie, nie widzimy tutaj prawie nikogo. Nie wątpię jednak, że obraz Warszawy budzi się często w tęsknym marzeniu każdego Polaka i mile będzie widziany nawet w tak pobieżnym opisie, jak niniejszy. Wielkie, piękne miasto, napawające dumą serca polskie, największe ognisko życia polskiego, ostatnia stolica kraju; miasto, zawdzięczające rozwój stosunkom handlowym Europy zachodniej ze Wschodem rosyjskim; miasto, mające, wiele danych na to, by się stać zbiornikiem ludności kosmopolitycznej, a jednak polskie w ogólnym charakterze i nawskróś pa-

tryotyczne; miasto nie do zdobycia ani dla żywołu rosyjskiego, ani dla cudzoziemców z Zachodu.

Wpływ rusyfikatorski wyraża się w powierzchowności Warszawy przede wszystkim kopułami cerkiewnymi, które mi geniusz narodu rosyjskiego zaznaczyć pragnie wszędy swoją zdobyczość. W przepięknej panoramie Warszawy, oglądanej od Wisły, widzimy już dzisiaj kilka plam złotych: wieżę soboru na ulicy Długiej (przerobionego z kościoła Bazylianów), oraz dominujące nad miastem kopuły nowej cerkwi, wzniesionej na placu Saskim, lśniące pozłotą swoją w promieniu wiorst kilkunastu. Oprócz tego w ostatnich latach zbudowano cerkiew w najponętniejszem miejscu spacerowem, w Alejach Ujazdowskich, a nieco dawniej na Pradze. Ogółem cerkwi rosyjskich wraz z kaplicami jest już w Warszawie około dwudziestu, ale tamte najbardziej uderzają w oczy.

Budowle te wznoszone są przez rząd rosyjski bynajmniej nie dla celów religijnych, bo szczupła garść ludności prawosławnej nie jest zdolna wszystkich cerkwi zapełnić; mają one zadanie dekorować miasto w stylu rosyjskim. Być może ludziom przyjezdnym rzucają się one w oczy i dają miastu pozór rosyjskiego, ale warszawiacy nie mogą się z tą myślą pogodzić, aby Warszawa trąciła Wschodem. Poprostu nie

pozwalają sobie myśleć w tym kierunku, aby nie stracić przywiązania do kochanej Warszawy; starają się nie patrzeć na kopuły i nie widzą ich istotnie.

Ciekawa jest psychologia ludności, której zmysły same zdają się protestować przeciwko narzuconemu porządkowi rzeczy. Ulice Warszawy na murach swoich nie mają napisu, któryby nie był przełożony obok na język rosyjski. Ściany domów zawieszono są szyldami podwójnymi, polskimi i rosyjskimi, w taki sposób, jakby całe miasto miało być praktyczną uczelnią języka rosyjskiego. A jednak spytajcie Warszawiaka, jak brzmi ten lub ów szyld po rosyjsku, a on ze zdziwieniem otworzy na was oczy; nie będzie sobie mógł przypomnieć nawet, czy widział kiedykolwiek szyld taki.

Oko polskie nie pada na szyld po prawej stronie, pisany po rosyjsku, lub ślizga się po nim, nie chwytając znaków. Starzy mieszkańcy nieraz spierają się o to, czy nazwy ulic na rogach znaczone są w dwu językach, bo nigdy rosyjskiej nazwy nie spostrzegli.

Wiele w tych omamieniach wzrokowych odliczać trzeba na karb ogólnej skłonności naszej do oszukiwania siebie w celu biernego unikania cierpień, ale przyznać trzeba, że w tym wypadku górującym czynnikiem jest niezmierne ukochanie Warszawy, stale dręczone obawą

rzeczywistości. Warszawiak oswaja się z koniecznością oglądania tego rodzaju nowych dekoracji bizantyjskich nie przez lekkomyślność; pogody dodaje mu leżąca na dnie duszy pewność, że on to wszystko przetrwa. Niema w Warszawie człowieka, nawet między ludźmi, wstydzącymi się swych uczuć narodowych, którzyby nie snuł planów, jaki w przyszłości użytek da się uczynić z soboru na placu Saskim.

Nic bowiem nie daje tyle trwałości uczuciom patriotycznym Warszawy, jak ów ironiczny stosunek do kultury rosyjskiej. Niema chyba na świecie miasta słowiańskiego, któreby tak, jak Warszawa, czuło swoją wyższość nad tą kulturą. To, co Rosyanie robią z naszymi budowlami, przerabiając n. p. Staszycowski pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk na bizantyjski gmach z kopułą złotą, lśniący jak polewany wielko-ruski garnek, wszystko to buntuje jeszcze bardziej i serce i dobry smak Polaka przeciwko kulturze wschodniej.

Gmach powyższy, zamykający Krakowskie Przedmieście, widzialny z daleka z pomnikiem Kopernika na tle fasady, przedstawia widok tak okropny, że nawet inteligentniejszy Rosyanin nie może nań spojrzeć bez niesmaku, zwłaszcza gdy obok, jakby dla kontrastu, wznosi się kościół św. Krzyża, ciemny, strzelający w górę, jak hymn spokojnego cierpienia. W cieniu wież

tego kościoła, na krążanku stoi Chrystus w cierniowej koronie, zgięty pod ciężarem krzyża i błogosławi ludowi. Urok polskiej architektury i rzeźby wzrósł nawet w oczach ludności przez to przeciwstawienie go bezmyślnej pstrokaciznie sztuki moskiewskiej.

Warszawiak, mijając sobór na placu Saskim, z przekąsem patrzy na wysoką dzwonnice, którą nazwał na poczekaniu »wieżą ciśnień prawosławia«; z taką samą ironią mija wojsko, które potrzęsając buńczukami na sposób tatarski, rozdziera powietrze wrzaskliwym śpiewem przy akompaniamencie piszczałek; z takim samym uśmiechem wybiera okiem z pośród publiczności typy moskiewskie, zwłaszcza oficerów, których stopnia i broni nigdy nie rozróżnia.

Ulice Warszawy w ciągu ostatnich lat kilkunastu zmieniły się znacznie na korzyść pod względem czystości i elegancji. Zaczęta za czasów prezydenta Starynkiewicza kanalizacja, obecnie w śródmieściu ukończona całkowicie, przeobraziła Warszawę. Znikły głębokie rynsztoki, którymi rwały potoki nieczystości, znikły wyboiste bruki z kamienia polnego, a natomiast nastąpiły po splantowaniu ulic gładkie bruki drewniane, asfaltowe lub z kamienia kostkowego, wszystkie na pokładzie betonowym, okolone arcywygodnymi i miłymi dla oka chodnikami. Chodniki te, mówiąc nawiasem, układane są z kwa-

dratowych płyt betonowych pomysłu inżynierii warszawskiej, wyrabianych przez zarząd miasta we własnej fabryce. Ulice, zyskujące tego rodzaju bruki, zmieniają się nie do poznania. Zapanowuje na nich, pomimo ruchu, względna cisza, a przechodnie, pewni swego kroku, zdają się pierwszy raz przypatrywać gmachom i perspektywie ulicznej; przedewszystkiem zaczynają chodzić bez kaloszy.

Linia, stanowiąca połączenie Krakowskiego Przedmieścia, Nowego Światu i Alei Ujazdowskich, na przestrzeni kilku kilometrów, aż do Belwederu, otrzymała najpierw bruk drewniany. Było to wolą ks. Imeretyńskiego, który parę razy na dzień przebywał tę drogę z Belwederu do Zamku królewskiego. Równoległa do tamtej linii, również kilka wiorst długa ulica Marszałkowska, przecinająca miasto od Ogrodu Saskiego do rogatki Mokotowskiej, szeroka i prosta, jak strzała, jest już prawie całkowicie drzewem zabrukowana. W ten sam sposób zmieniono piękny Plac Teatralny z uliczkami do niego wiodącymi i wiele ulic poprzecznych między powyższymi dwiema liniami głównymi.

Ulice, które zyskały przez to na komforcie, zaczęto coraz szczerzej zabudowywać, burząc stare gmachy lub nadsztukowując je piętami górnymi. Rzucono się do przerabiania okien sklepowych, oświetlania ich elektrycznością, tak,

że dzisiaj ulica warszawska nie razi w oczy bywalców zagranicznych. Z większych budowli, w ostatnich latach wzniesionych, wskazać należy szereg domów wspaniałych przy ulicy Marszałkowskiej, hotel Bristol na Krakowskiem Przedmieściu na miejscu zburzonego Banku dyskontowego, gmach Panoramy z wieńcem lamp elektrycznych na kopule, przerobiony dom Stępkowskiego na placu Teatralnym, gmach Filharmonii i Tow. ubezpieczeń „Rosya“ i in. na placach po zburzonym szpitalu Dzieciątka Jezus, cały szereg gmachów na ulicy Foksal i t. d. Są to wszystko gmachy prywatne; rząd Rosyjski nie buduje w Warszawie nic oprócz cerkwi. Niszcząc stare pałace polskie, obrócone na biura rządowe, nie pomyślał dotąd o wzniesieniu bodaj jednego budynku, nawet na szkołę. Z funduszków publicznych dźwignięto w ostatnich latach całe niemal dwie dzielnice, mianowicie szpital Dzieciątka Jezus z klinikami uniwersyteckimi i Politechnikę w południowo-zachodniej części miasta.

Największą jednak zdobyczą nowożytnej Warszawy są wspaniałe roboty plantacyjne, dokonywane przez specjalny komitet miejski, któremu przewodniczy ogrodnik Szanior. Uporządkowane przez ten komitet ogrody miejskie S a s k i, K r a s i ń s k i c h i skwery urągają obecnie swoim wdziękiem przepięknym niegdyś Łazienkom i ogrodowi botanicznemu, pozostającym pod opieką

ministryum Dworu i Uniwersytetu. Na pustych niegdyś placach powyrastały gustowne skwery, a w Alejach Ujazdowskich, tam, gdzie niedawno na zaśmieconym placu uganiały się psy lub kozacy na koniach, obecnie mamy prześliczny Park Ujazdowski. Oczom się nie wierzy na widok zmian, dokonanych tutaj w powierzchni tego placu i w kolorycie. Nie chcę wpadać w patos Delille'a lub Trębeckiego, ale wyznać trzeba, że nowoczesne postępy sztuki plantacyjnej są wielce imponujące.

W Warszawie, jak rzekłem, niema nowych gmachów rządowych, ale może właśnie dlatego, że wszystkie są stawiane usiłowaniami prywatnemi, Warszawianie tak do nich się przywiązują. Tutaj zrozumiałą jest typ owego żyda w powieści Reymonta „Ziemia obiecana“, oddającego się całe życie rozkoszy obserwowania rozwoju swego miasta, rozkochanego w mieście rodzinnem. Każdy gmach bądź nosi cechę historyczną, bądź też wzrósł w oczach, więc historia jego jest znana. Tradycje wiążą Warszawian szczególnie ze Starem Miastem, z Placem Teatralnym i z tą częścią Krakowskiego Przedmieścia, gdzie nie dawno stanął pomnik Mickiewicza. Warszawiaci kochają się w wielkim moście żelaznym na Wiśle, dumni z Kierbedzia, który go stawiał, a każda krytyka techników nowoczesnych, wyszydająca pokraczność mostu

i przeładowanie żelazem, sprawia im prawdziwą przykrość. Warszawiak kocha się w Ogrodzie Saskim, a chłodniej już traktuje ogrody, należące do pałaców carskich (Łazienki), nie może patrzeć w stronę cytadeli, a pogardza Placem Saskim, gdzie do niedawna stał żelazny pomnik Polaków, poległych za monarchę (przeniesiony teraz na Plac Zielony), a gdzie teraz stanęła cerkiew.

Warszawa, w której od dawna źle gospodarzono, nie dbając o wytykanie zawczasu przyszłych ulic, w której gospodarzono przedewszystkiem bez nakładów pieniężnych, nie uwzględniła w swoim rozwoju Powiśla. Nie było w XIX stuleciu pieniędzy na bulwary, ani na mosty nowe. To też rozszerzając się tanim kosztem w pola, w kierunku Mokotowa, pozostawiła w wielkiem zaniedbaniu przepiękne wybrzeża Wisły, na które do dziś dnia filister warszawski nie odważy się wyrzeć.

Stoki wysokiego brzegu Wisły, na którym stoi miasto, pokryte są w znacznej części ogrodami dawnych posiadłości magnackich, a dół sam nad Wisłą mało dostępny, przeznaczony na składy drzewa i na śmietniska, jest „podobno“ siedliskiem ludzi biednych i złej konduity. To też Warszawa nie ma do Wisły przystępu; zbliża się do niej raz do roku podczas „Wianków“, lub spoziera na nią z wysoka z mostu w razie „podróży“ na Pragę. Żadne chyba miasto na

świecie nie pogardziłoby tak śliczną rzeką, omywającą nurtami jego stopy.

Wisła, którą dotąd widział tylko król Zygmunt Stary ze swej kolumny na pl. Zamkowym, obecnie ma mieć udogodniony do siebie dostęp przez ulicę Karową; ma ona być rozszerzona i doprowadzona terasami do Wisły. Przyspieszyła tę robotę budowa hotelu Bristol, przyczem przekonano się, że dość było znieść jeden mur od Krakowskiego Przedmieścia, aby odsłonić widok na Wisłę i Pragę.

Praga, traktowana jako przedmieście po maceszemu, połączona z Warszawą tylko jednym mostem, nędzny dotąd wiodła żywot; cała jej nadzieja na projektowanym moście, który ma stanąć w przedłużeniu Alei Jerozolimskiej. Praga smutny przedstawiała do niedawna widok na tym swoim płaskim brzegu Wisły: szara, pozabawiona okazalszych budowli, ozdobiona jedynie cebulowemi kopułami cerkwi. Od paru lat wszakże, za sprawą architekta Dziekońskiego, stał się tam istny cud, który przeobraził tę dzielnicę. Niedaleko od Wisły, a w przyzwoitej odległości od cerkwi, wyrósł w górę z pustych placów przepiękny kościół katolicki św. Floryana w stylu gotycko-wiślanym. Świątynia ta nie ma od siebie piękniejszej w Warszawie, a nawet ogłoszona przez *Kuryer Warszawski* ankietą uznała ją za najwyższe dzieło budownictwa polskiego

w XIX. stuleciu. Te dwie przedstawicielki wrogich sobie kultur: cerkiew i kościół św. Floryana stoczyły bój w oczach Warszawy o Pragę — i św. Floryan zwyciężył.

Próżne to usiłowanie w krótkim opisie wyjawić wszystkie powaby Warszawy, które należy widzieć z bliska, aby je ocenić, z którymi zżyć się trzeba, aby je pokochać. A coś jest w tem mieście, że kto w niem zamieszka, ten je umiłuje i nie wyrzeknie się już nigdy miana Warszawiaka. Ten nie zatęskni już za miejscem rodzinnem, a gdy Warszawę opuści, widywać ją będzie, pełen tęsknoty, w marzeniach sennych.

II. Ruch uliczny.

Chorobliwe objawy ruchu. — Umiłowanie tłoku. — Warszawiak na ulicy. — Warszawianka. — Humor uliczny. — Dorożki warszawskie. — Corso w Alejach Ujazdowskich. — Zabawy ogrodowe. — Noc.

Pod względem ruchu Warszawa należy do miast osobliwych. Jest to mrowisko, złożone z 800 tysięcy ludności, która, zdawałoby się, ustawicznie goni za sobą po ulicach, rada ciągle się oglądać. Różne przyczyny składają się na tę niezwykłą ruchliwość ulicy warszawskiej. Przedewszystkiem główne dzielnice zbyt są skupione na niewielkiej przestrzeni. Następnie miasto, jak zaznaczyliśmy, na regulację nic nie wydaje, nie tyle z powodu niezamożności, ile z powodu złej gospodarki miejskiej, sprawowanej despotycznie przez burmistrzów Rosyan. Koleje żelazne przecinają ulice i tamują ruch uliczny, a miasto nie zdobyło się dotąd ani na jeden wiadukt, ani na jeden tunel; to też odcięte przez

koleje dzielnice komunikują się przez odległe ulice śródmieścia. Niema wreszcie dogodnej komunikacji obwodowej ani dla towarów, ani dla osób; niema dworca centralnego. Między odległymi dworcami kursuje masa dorożek i wozów.

Gdy się zważy przytem niezwykle towarzyskie usposobienie Warszawian, lubiących pokazywać się na ulicy, handlowy charakter miasta, stanowiącego ognisko rozległego kraju i leżącego na trasie między Azją a Europą, to się zrozumie wówczas, jaki ruch panuje na ulicach Warszawy.

Niema takiej pory dnia, w którejby ruch zamierał, jak np. we Lwowie w czasie pracy biurowej, lub w niedzielę w czasie obiadu. Wywołuje to nieraz zdziwienie, że np. w ogrodzie Saskim od rana do nocy siedzi pełno ludzi różnego wieku. Kiedy oni pracują, skąd się biorą? — Jest to tajemnica wielkiego miasta. Ulica zawsze jest pełna, a w pewnych porach dnia wprost tężeje od zatamowania ruchu. Panuje jednocześnie tłok na trotuarach, a pośrodku taki zamęt, taki ścisk powozów i tramwajów, że nieraz posuwisty Warszawiak parę minut czekać musi, zanim znajdzie chwilę sposobną do przeskoczenia ulicy. Kto był kiedykolwiek w Warszawie, niech sobie przypomni ruch na Marszałkowskiej, Chmielnej, Nowym Świecie, Krakowskiem Przedmieściu, na Zjeździe koło mostu, na Wierzbowej,

na zbiegu Bielańskiej i Senatorskiej, na Granicznej, Elektoralej i w. i. Zwłaszcza w godzinach, kiedy dozwolony jest ruch wozów ładownych (do g. 11 r. i od g. 7 w.), panuje w tych punktach taki piekielny zamęt, ścisk i zgiełk, że ludzie, nie przyzwyczajeni do niego, czują się zagrożeni rozstrojem nerwowym.

Ale Warszawiacy to lubią, dążą umyślnie tam, gdzie jest tłok, tylko po tej stronie ulicy chodzą, gdzie jest tłok. Są ulice, jak Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, gdzie się chodzi tylko po jednej stronie. Niepodobna wprowadzić zwyczaju rozbijania tłumu na oba chodniki, z tego powodu jedna strona ulicy ma sklepy mniej okazałe i tańsze.

Za to publiczność warszawska umie chodzić po ulicy. Każdy trzyma się prawej ręki i wymija przechodniów, jak w tańcu. W Krakowie — i zdaje się w całej Austryi — ludzie i wozy trzymają się lewej strony, ale we Lwowie, o ile pamiętam, nigdy nie mogłem odgadnąć, w którą stronę idzie publiczność. Wszyscy tam (i nie tylko na chodniku) włożą na siebie, stąd ruch taki opieszale; a np. na Grodeckiej w sobotę już zgola nie wiadomo, czy się dojdzie do domu, bo każdy drogę zagraadza.

Oczywiście, względnie do pory dnia, ruchliwość uliczna w Warszawie zmienia swoją postać. Przed rozpoczęciem lekcji w szkołach i po ich

ukończeniu ulica na chwilę zapelnia się młodzieżą z tornistrami na plecach. Przed wieczorem prze-maga publiczność spacerowa, a ten ruch dosięga punktu kulminacyjnego koło godz. 7 wiecz., zwłaszcza w kierunku Alei Ujazdowskich.

Właściwego tonu ulicy spacerującej nadaje Warszawianka, dla której zdaje się wylegać na ulicę świat męski. Ona ulicę rozwesela, robiąc ze spaceru zebranie towarzyskie, pełne wdzięku, błyskawicznych spojrzeń, szeleszczącego jedwabiu i zapachu perfum. Warszawianka idzie na pozór niedbale, swobodnie, niby nikogo nie spostrzegając, a jednak zachowuje się wymyślnie, jak na scenie. Chcąc nie chcąc, ciągle ma się przed oczyma piękne, strojne kobiety, umie się na pamięć zmieniające się co sezon sposoby unoszenia spódnic i cuda, wyprawiane przy tej sposobności z jedwabnemi halkami.

Te cuda tak hypnotyzują Warszawiaków, że ci ledwie spostrzegają górne kondygnacye przechodzących osób. A dodać należy, że Warszawianki ubierają się według mody paryskiej, co je znacznie wyróżnia od mieszkanek Galicyi, które, jak słychać, czerpią swoje natchnienie i kapelusze tylko z Wiednia. Stąd wielka przewaga po stronie Warszawianek. Osiągają one tę przewagę bynajmniej nie urodą swoją, wbrew panującemu przekonaniu, bo — o ile wiem — nie-ma w żadnem z miast polskich kobiet piękniej-

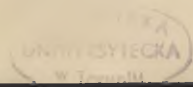
szych od Lwowianek. Warszawianki biorą prym swoją nieporównaną elegancją i zalotnością, czemu sprzyja nerwowość, właściwa mieszkańkom miast wielkich. Później wskażemy, przy innej sposobności, kiedy będzie mowa o życiu towarzyskiem Warszawy, jakie czynniki złożyły się na to, że kobieta czuje tutaj swoje znaczenie i wpływ. Dostyc zaznaczyć, że na ulicy, czy idzie piechotą, czy siedzi w powozie, czy dąży za sprawunkami, czy bierze udział w corso kwiatowem, czuje się ona wszędzie królową otoczenia i jest nią niewątpliwie.

Warszawiakom, jak rzekłem, robi satysfakcyę być na ulicy. Ten ruch tłumny nie jest pozbawiony interesu towarzyskiego; każdy jest rad, że jest widziany i widzi innych. Jak już zaznaczałem w rozdziale poprzednim, Warszawiak, pomimo ciągłych przypomnień, że go pilnują moskale, pomimo cerkwi i szyldów rosyjskich, czuje się w mieście dobrze. Rad gapi się po ulicach, wesoło przyjmuje zaczepki łobuzów, sprzedających gazety, którzy dla wyżebrania paru groszy, wywracają przed nim na chodniku koziółki, wymienia z kobietami zalotne spojrzenia, a na widok zajścia ulicznego, pędzi, gdzie ludu jak najwięcej. Byle upadek człowieka, czy konia, byle awantura z policją, wnet gromadzi się taki tłum widzów, że komunikacya uliczna ulega zawieszeniu. Pod tym względem żadną wrażeń

ulicę warszawską porównać można do pokładu okrętowego w długiej podróży, kiedy pasażerowie tak są znudzeni, że lada zdechła ryba, wynurzająca biały brzuch nad powierzchnią morza, zwabia wszystkich z jednego końca pokładu na drugi.

Humoru ulicy Warszawskiej dodają «andrusi» (ulicznicy); cały zresztą lud warszawski: dorożkarze, posłańcy, rzemieślnicy mają wiele temperamentu i humoru. Powagi zaś dodają tłumowi nader liczni stójkowi (policjanci), których lud nazywa «panami stojącymi». Ci, walcząc ciągle z niesfornymi dorożkarzami, tamuują co chwila ruch uliczny, tak, że czasami wydaje się, jakby od ich humoru zależały losy tego olbrzymiego ruchu. A zatamować ulicę warszawską bardzo łatwo. Są chwile kolo mostu na Zjeździe, na Wierzbowej podczas zbierania się publiczności do teatrów, lub w czasie spaceru w Aleje Ujazdowskie w karnawale letnim, że setki powozów stoją bez ruchu pół godziny i dłużej.

Na szczególną uwagę między woźnicami zasługują dorożkarze warszawscy. Takich dorożek niema na kuli ziemskiej. Są to powoziki lekkie, jedno lub parokonne, nie zastępowane nawet w zimie karetkami. Pomimo nawoływań prasy i czynionych prób, nie udało się dotąd zastosować karetek, chociaż w klimacie warszawskim



bardzo byłyby przydatne. Warszawiak nie znie- sie zamknięcia, pragnie, aby go całe miasto wi- działo, że jedzie dorożką. (Dorożki są bardzo tanie, pomimo olbrzymich kursów. Kurs dorożką jednokonną kosztuje 40 groszy, parokonną, zwy- kle na gumowych obręczach, taksa podwójna). Dorożkarz ubrany jest w liberyę granatową, z białymi, metalowymi guzikami, na głowie ma czapkę ceratową, a na plecach zwieszony na blasze numer. Konie w dorożkach parokonnych czasami doskonałe, zwykle jednak bardzo zni- szczone, mają na sobie chomąta «krakowskie» z wysokimi kleszczynami, zdobne w mosiężne kółka na rzemieniach.

Dorożkarze stoją tłumnie po rogach ulic, w całym pogotowiu i na każde skinienie prze- chodnia zrywają się do lotu. Automedon lwow- ski nie dałby wiary oczom swoim na widok fantazyi, z jaką dorożkarz rusza z miejsca. Konie z zadartemi w górę głowami iskry z pod nóg sypią i w oka mgnieniu stają przed pasa- żerem, jak wryte.

Słynna jest «jazda kawalerska» dorożkarzy warszawskich, na którą nie zawszeby się zgo- dził filister, przyzwyczajony do kursowania fia- krami w Paryżu lub Berlinie. Dorożkarze war- szawscy jednak powożą bardzo zręcznie, wpa- dają z największym impetem w ścisk powozów i tylko trzask wachlarzy powozowych świadczy

od czasu do czasu, że zbyt trudnym zadaniem było tędy się przecisnąć. Dorożka parokonna mknie jak jaskółka, konie mają głowy tak ściągnięte w górę, jakby gwiazdy obserwowały. Są widocznie styranizowane przez woźniców i pędzą w jakimś nerwowem tempie.

Ruchowi pojazdów najlepiej się przypatrywać latem w Alejach Ujazdowskich; przeważają tam zaprzęgi prywatne, częstokroć nader okazałe, w czasie wyścigów konnych oryginalnie pomyślane breki poczwórne; nie brak jeźdźców konnych, samochodów i rowerów. Dorożki, pobrękujące kółkami u chomąt, wyglądają nieco skromniej, a cała uwaga tłumów, zalegających chodniki, zwrócona jest na obserwowanie strojów i oryginalniejszych zaprzęgów. Nad pięknymi Alejami Ujazdowskimi unosi się ku wieczorowi kurz, wzniesiony trenami, aż wreszcie zachodzące słońce pozostawia rozbawione tłumy opiece gazowych latarni.

Szczytu rozbawienia dosięga publiczność uliczna na zabawach ogrodowych, urządzanych latem w Dolinie Szwajcarskiej, na Dynasach, we Frascati, gdzie przy dźwiękach koncertowej muzyki, stłoczona jak na jarmarku, obrzuca się, niby zbiorowisko dzieci, papierkami «confetti» lub kwiatami. Oczywiście rej tutaj wiodą kobiety, nie zawsze budzące zaufanie towarzyskie swoim stanowiskiem obyczajowo - społecznym,

ale zawsze strojne, powabne, dobrze się bawiące i zgrabnie powodujące rozbawionymi mężczyznami.

Noc nie kładzie tamy ruchowi ulicznemu, jak to się dzieje np. w Wiedniu, gdzie o godz. 10-ej wszystko zamiera. Oficjalnie noc rozpoczyna się o godz. 11-ej, kiedy zamykane są bramy domów, a na ulicy ukazują się stróże nocni, dodawani do pomocy zmniejszonym na noc zastępom policji. Stróże ci, z drągami w rękę, zimą tak ciepło odziani, że niezdolni do wszelkiego ruchu, spacerują do rana środkiem ulicy w małych odstępach między sobą. O godz. 11 wieczór kończą się widowiska teatralne, publiczność rozjeżdża się tłumnie do domów i do restauracji.

Restauracje warszawskie cieszą się w nocy wielkiem powodzeniem, zwłaszcza pierwszorzędne, w których od pewnego czasu nastąpiła moda spożywania kolacji w kółkach towarzyskich z damami. Mówię o salach ogólnych i o damach w towarzystwie mężów lub ojców. Do modniejszych restauracji należą dziś sale w hotelu Bristol, hotelu Europejskim, Brühlowskim, u Norwowskiego i inne.

Koło godz. 2 zaczyna się charakterystyczny ruch «kawalerski» dorożek w stronę restauracji zamiejskich tego rodzaju, jak Marcelin, Sielanka, Japonia, Trianon i t. p. Policja i stróże

nocni kłaniają się bogatym paniczom i strojnym damom, nie krępując już w niczem ich swawoli, a nieszczęsne, bose dzieci Warszawy, czuwające noc całą w oczekiwaniu zarobku, skacząc na stopnie powozów, rzucają rozbawionej filisteryi kwiaty pod nogi.

Spokojny, strudzony ciężką pracą mieszkaniec, budząc się w nocy, określi ze słuchu, według tententu dorożek, porę nocy. Jeśli trafi na chwilę ciszy niezwyklej, zrzadka przerywanej turkotem, to już wie, że jest koło godz. 4 rano. Niebawem o godz. 4 zaczyna się nowy łoskot, gospodarski — wozów rzeźnickich i piekarskich, a wkrótce nastaje parę godzin, w których nad miastem zapanowuje lud pracowity i pobożny, dążący do fabryk i do kościołów. Wtedy zjawiają się na ulicy na wózkach jednokonnych, powożonych często przez kobiety, mieszkańcy wsi okolicznych, zwożący żywność.

Powozów niema o tej porze. Od czasu do czasu — niestety, częściej niż serce znieść może — widzi się powóz z zapuszczoną budą i wyzieraający zpod niej błękitny mundur żandarma przy cywilnem ubraniu ofiary, wywożonej do Cyta-
deli. Ci jedynie pracowali w nocy.

Świat filisteryi, «szyku» miejskiego śpi głęboko i nieprędko się zbudzi...

III. Opieka policyjna.

Sieć policyjna. — Policya domowa. — Jednostka »pod dozorem«. — Rewizya nocna. — Armia szpiegów policyjnych. — W fabryce, na pogrzebie, na balu. — Kontrola towarzystw legalnych. — Wojsko na posługach policyi. — Kozak-centaur.

W Rosyi więzienia istnieją na to, aby tym, co nie zostali zamknięci, wydawało się, iż są na swobodzie. Więzienia unieruchamiają znaczną część obywateli nieprawomyślnych politycznie lub społecznie, ale nikt właściwie nie jest wobec państwa na wolnej stopie. Zarzuciło ono na swoich poddanych gęstą sieć, której na powierzchni nie widać, a w której hoduszą się nieme ryby obywatelskie, pozbawione swobody.

Warszawa więcej, niż każde inne miasto w krajach zabranych, omotana jest w gęstą sieć policyjną. Mieszkańcom kraju konstytucyjnego, którzy Warszawy osobiście nie znają, niepodobna stosunków tych opisać tak przekony-

wujaco, aby się one wydały im prawdopodobnymi. Zaczniemy od opieki policyjnej w domu samym.

Każdy właściciel nieruchomości w Warszawie, składającej się choćby z jednego mieszkania, czy też z placu pustego, musi na niej utrzymywać stróża, odpowiedzialnego przed policją. Stróże ci w ostatnich latach weszli *de facto* (na mocy okólników policmajstra) do organizacji policyjnej. Policja może w każdej chwili bez zdawania sprawy gospodarzowi, pozbawić stróża zajęcia, lub nie dozwolić gospodarzowi dobrać sobie stróża według swego upodobania, podsuwając swoich kandydatów. W każdym domu do czynności meldunkowych urzęduje osobny rządca, który w księgach notuje zmiany między lokatorami.

Od tego jest stróż, aby donosił rządcy, kto wprowadził się do domu, kto się wyprowadza, gdzie się urodzi dziecko, kto zezmie i aby każdą taką zmianę meldował w policji. Stróż obowiązany jest donieść o wypadku nocowania choćby przez jedną noc kogoś obcego; w Warszawie nie można przenocować u siebie krewnego przyjeźdnego ze wsi lub przybyłego z drugiej kamienicy bez zameldowania w policji. I nie tylko przenocować nie można bez wiedzy stróża. On wie o każdej wizycie, składanej lokatorowi i jest obowiązany wiedzieć. W tym

celu on, albo jego rodzina, baczyć musi w bramie (w Warszawie klatki schodowe urządzone są od bramy) dzień cały, kto wchodzi i wychodzi i dokąd dąży, wieczorem zaś od zmroku stróż zasiada na ulicy przy wejściu do bramy na stołeczku i pilnie śledzi ruch w domu, oraz to, co się na ulicy dzieje. Siedzi tak do godziny 11-ej, dopóki nie zamknie bramy. Stróż obowiązany jest donosić policji o każdym zebraniu towarzyskiem, odbywajacem się w kamienicy, przez służbę zaś i przez osobiste obserwacje nietrudno mu się dowiedzieć, kto u kogo bywa.

W ten sposób nikt nie jest w stanie uchronić swoich stosunków towarzyskich i domowych od czujnego oka tych cerberów. Oczywiście nie brak między nimi szpiegów płatnych od policji, a dom, w którym się stróż taki trafi, staje się dla «wolnych» obywateli wprost więzieniem.

Stróż ma nadto obowiązek czuwania nad kawałkiem ulicy, przyległym do kamienicy; ma prawo aresztowania i odprowadzania do cyrkułu przekupniów, żebraków, odstawiania tam pozostawionych na chwilę bez opieki zaprzęgów; stójkowi posługują się nimi jako swoimi podwładnymi, w razie potrzeby stawiają stróżów na swoim miejscu na środku ulicy, posyłają ze zleceniami do cyrkułu itp. Jest to więc posługa i niejako urząd czysto policyjny, ale utrzymywany kosztem właścicieli prywatnych, często-

kroć bez żadnego dla siebie pożytku. Właściciel domu bowiem nie może pod grozą grzywny używać go do swoich posług, ani tembardziej używać do posylek.

Wobec tego stróże domowi stali się w Warszawie potęgą, przed którą drży nie tylko lokator, ale i właściciel domu. Rozzuchwaleni swoim znaczeniem w policyi, wywierają oni w swojej kamienicy istny teroryzm na lokatorach i biada temu, kto ze stróżem pocznie wojować.

Dzisiaj więc do niezliczonej armii policyi warszawskiej zaliczać trzeba stróżów, których w Warszawie znajdzie się około 7 tysięcy.

Nieszczęsna zaś jest dola tych, którzy dla jakiegokolwiek powodu dostali się pod szczególny dozór policyi. Jednostka dozorowana, jeżeli istotnie ma stosunki, którychby nie chciała ujawniać policyi, a wie o tem, że ją pilnują, dostać może wkrótce rozstroju nerwowego. Wówczas bowiem nie jest nigdy pewną dnia i godziny, kiedy rozlegnie się dzwonek od kuchni, lub od frontu i nie zjawi się jakaś podejrzana osoba, szukająca pretekstu, aby zajrzeć do mieszkania. Wówczas na podwórzu i przed domem spotykać będzie «przechodniów» w wypłowiałych paltotach z parasolem pod pachą, obrzucających ją ukradkowym wejrzeniem. Na drugim końcu miasta, odwróciwszy się nagle, ujrzy zawsze kogoś z tych przechodniów; czy siądzie

do tramwaju, czy nagle zmieni miejsce, siadając do doróżki, zawsze w parę chwil ujrzy tajemniczą postać przy sobie.

Człowiek taki wówczas zaczyna się bać cienia swojego, a nie chcąc ściągnąć biedy na znajomych, nie kłania im się przy spotkaniu na ulicy, zamyka się w domu i z trwogą wsłuchuje się w odgłosy kroków na schodach.

Bo na takiego przyjdzie nareszcie owa fatalna godzina w którąś noc ciemną, że zbudzi go ze snu gwałtowny dzwonek i będzie wezwany do otwarcia drzwi, jakoby po odbiór telegramu. Wejdzie wtedy do mieszkania stróż miejscowy, za nim wpadnie żandarm, za tym kilku z cyrkułowej policyi i tajemniczy «przechodzień» w wypłowiałym paltocie, z parasolem pod pachą.

Do rewizyi i spisywania protokołu policya bierze zawsze z sobą «pierwszego lepszego przechodnia», którym jednak okazuje się szpieg, tropiący już od dawna ofiarę. Policya obejmuje pod pilny dozór wszystkie pokoje i przetrząsa schówki. Znana to operacya, choćby z dramatu «Tamten» Zapolskiej.

Pomijam policyę ładu i bezpieczeństwa na ulicach i jej działalność. W tak wielkiem mieście, jak Warszawa, musi jej być dużo. Ale niestety, największe ofiary, ponoszone na ten cel przez miasto, nie zupełnie się opłacają, bo po-

licy warszawskiej ze złodziejami jakoś trudno idzie. Wszystka ona zajęta jest głównie tropieniem osób «nieprawomyślnych».

Istnieje na to kilka jej rodzajów: 1) zwyczajna policja miejska, 2) «Ochraha», złożona z agentów cywilnych, mających swoją organizację przy policmajstrze miasta, po za agencją śledczą do wypadków kryminalnych, 3) wreszcie żandarmerya, zależna od swego zarządu w Petersburgu.

Koszta utrzymania tej ogromnej organizacji, obejmującej dziesiątki tysięcy ludzi, a ciągle powiększanej, ponosi przeważnie miasto. W ostatnich latach wprowadzono nowy dodatek do podatku przemysłowego na utrzymanie specjalnej policji fabrycznej. Obecnie nad każdą fabryką czuwa stale kilku policyantów, mających zadanie śledzenia agitacji socjalistycznej między robotnikami.

Jeden z nich stoi u furty wchodowej i sprawdza przynależność każdego do fabryki, obce zaś osoby odprowadza do posterunku wewnętrznego, który pilnuje dalej przybysza; drugi policyant siedzi w biurze fabryki; trzeci pilnuje maszyn; czwarty krąży po warsztatach itd. Szafki robotników, gdzie ci zostawiają swoje rzeczy podczas pracy, stale są przetrząsane przez policję.

Nie mniejszej kontroli podlegają obecnie wszystkie stowarzyszenia, wszelkie wystąpienia

ich publiczne, zabawy, nawet bankiety klubowe itp. Pogrzeby wybitniejszych osobistości odbywają się przy asyście mnóstwa policyi, która nierzadko stacza formalne bójki z orszakiem, pragnącym nieść wieńce przed karawanem. Nie wolno nieść wieńców! Mowy pogrzebowe cenzurowane być muszą z góry w biurze policmajstra i przez cenzurę ogólną; nad grobem zaś staje przy mówcy agent policyjny i sprawdza według tekstu wygłaszaną mowę.

Od pogrzebu przejdźmy, dla kontrastu, do balu publicznego, aby się przekonać, jak dalece każda dziedzina jest strzeżoną. Dajmy na to, że bal jest korporacyjny; jest to najpospolitszy dzisiaj typ zabawy. Bal ten urządza n. p. Kasa dziennikarska, mająca do tego prawo według statutu, zatwierdzonego przez ministra. Zabawa ma na celu przysporzenie funduszków instytucyi, zajmuje się nią komitet, wybrany na ogólnem zebraniu z pośród ludzi, cieszących się powszechnem zaufaniem. Zdawałoby się więc, że nikt gorliwiej nie może się tą zabawą zająć i nikt lepiej zyskanych funduszków nie dopilnuje. A jednak nowe przepisy policyjne rozciągnęły pod tym względem nad towarzystwami szczególną kontrolę w obawie, aby pieniądze nie poszły przypadkiem na cele poza instytucyą. A więc stowarzyszenie, zamierzające urządzić bal, wnosi do policmajstra podanie na stemplowym papie-

rze z dołączeniem szczegółowego programu, z oznaczeniem miejsca i dnia zabawy. Uzyskawszy pozwolenie, przedstawić musi do zatwierdzenia projekt afiszów, biletów, karnetów, jeśli mają być drukowane itp. Nie dość na tem; przygotowane bilety muszą być doreczone policyi, która książeczki przesnurowuje, zaopatruje w swoją pieczęć i każdy bilet stempluje. Bilety te mogą być sprzedawane tylko w jednym miejscu, z góry aprobowanem, w oznaczonych godzinach i tylko w asystencyi delegowanego oficera policyi. Ten, siedząc godzinami przy kasie, pilnuje, aby sprzedający nie ważył się odmówić komukolwiek biletu, ze względu na sferę lub skandaliczność samej osobistości. Gdyby pozwolono na dobór publiczności, to, kto wie, czy nie dobranoby towarzystwa zbyt jednolitego w znaczeniu narodowem, a na pewno odmówionoby biletów policyi śledczej, która na balu być musi.

Po upływie godzin, oznaczonych na sprzedaż biletów, urzędnik policyjny zapisuje sprzedane bilety, gotówkę zaś zabiera do ratusza za pokwitowaniem. Zebrany ze sprzedaży dochód spoczywa w ten sposób w policyi do czasu ukończenia rachunków, stowarzyszenie zaś na każdy wydatek balowy przedstawić musi urzędowy kwit dostawcy, aby podnieść z policyi pieniądze. Ta zaś ma tyle czasu i rąk, że prowadzi u sie-

bie księgi buchalteryjne i resztę dochodu po dokonanych formalnościach zwraca.

Sam bal odbywa się pod czujnym, wielookim dozorem policji. Wszędzie jej pełno. Na sali, wśród młodzieży, kręcą się osobistości we frakach, które ten i ów odrazu przypomina sobie widziane w mundurze na ulicy; u drzwi wszystkich salonów, w sali jadalnej za stołem — wszędzie policja w mundurach; koło gmachu grupami stoi policja piesza, dokoła zaś krążą jezdni żandarmi. W ubiegłym karnawale obliczono, że na jednym z balów brało w ten sposób udział w zabawie 120 przedstawicieli policji.

Policja jest wszędzie obecna, przy każdym zdarzeniu, więc nie kusimy się o wyczerpanie opisu jej działalności. To tylko trzeba zaznaczyć z naciskiem, że rekrutuje się ona — niestety — z coraz szerszych i z coraz wyższych warstw społeczeństwa, sięgając sfer, które zdawały się niedostępnymi upodleniu tego rodzaju. Szpiegowie bardziej inteligentni lepiej się ukrywają, ale nieraz pokosy ofiar wskazują, skąd pochodzi działalność szpiegowska. Niebrak szpiegów między kobietami romansowemi, co dawniej wydawało się możliwem tylko w powieściach kryminalnych.

Do pomocy policji w potrzebie ulicznej dodawane bywa coraz częściej wojsko; widzimy je więc na ulicy przy lada sposobności bezro-

bocia, czy manifestacyi, nawet przy takich uroczystościach, jak odsłonięcie pomnika Mickiewicza, kiedy w całym kraju wojsko było zmobilizowane. Poza tem codziennie posługi policyjne czynią kozacy w charakterze patrolów, a przy szczególnych okazjach, w charakterze puszczanych dla postrachu hord. Mieszkańcy przywykli już do tego egzotycznego zjawiska, do owych jeźdźców wschodnich, pędzących przez miasto na drobnych szkapinach jakimś pędem żywiołowym siły — rzecz można — podziemnej. Konie te, z przyrośniętymi do grzbietów jeźdźcami, przypominają owe przejmujące dreszczem istoty Boecklina, które w walce na wązkim moście, nie okiełzane, dokonywują zniszczenia, prac ślepo naprzód. Nie widać nigdy ich oczu, nie poruszają ogonami, nieczule, jak ich jeźdźcy. A jednak każdy popęd dzikiego kozaka udziela się zwierzęciu, które pędzi na ofiarę, gdzie tylko wyciągnie się ręka z knutem, a tak chyżo jest w pościgu i zręczne, że nie umknie przed niem nikt, kogo dosięgnąć ma żelazny bat barbarzyńcy. Widziano raz, jak koń taki na Starem Mieście całym pędem wpadł za człowiekiem uciekającym po schodkach w ciasną i ciemną sień starego domu, i dopędził tam ofiarę.

Nie wymknie się ryba z sieci!

IV. Życie publiczne.

Przedstawicielstwo narodowe. — Polacy na urządach. — Instytucje społeczne. — Język rosyjski w biurach prywatnych. — Złudzenia ugodowców i zwolenników pracy organicznej. — Monopol rządowy w zakresie oświaty ludowej. — Kuratorya trzeźwości. — Policmajster jako przywódca pracy obywatelskiej i kulturalnej.

Życie publiczne w zaborze rosyjskim nie należy do tematów wdzięcznych, bo jakież tu życie być może? Rząd rosyjski dąży w całym państwie do uprzywatnienia wszelkich objawów woli zarówno jednostkowych, jak i zbiorowych. Trochę o dobro publiczne, pojmowane po swojemu, usiłuje wziąć całkowicie na siebie i pod tym względem dzisiejszy ustrój państwowy Rosyi i jego działalność w duchu socjalizmu państwowego wyobrażają doskonały typ państwa policyjnego, nie pozostawiający żadnego przestworu inicjatywie społeczeństwa. Tem mniej może być mowy o udziale obywateli w życiu publicznym

tutaj w Królestwie, gdzie ludność miejscowa nie otrzymała najmniejszych praw reprezentowania przed rządem interesów nie tylko narodowych, ale nawet lokalnych, powiatowych. Polak pozbawiony jest również prawa zajmowania urzędów, sfera więc działalności państwowej jest nam całkowicie obcą.

Istniejące od lat kilku stronnictwo rządowe, zw. ugodowem, próżno przymawia się rządowi o jaki taki postereunek, mundur; parę razy nawet usiłowało zagaić dyskusję polityczną z rządem. Stąd właśnie nazwane zostało ugodowem, że obiecywało robić ustępstwa z ideałów narodowych za powyższe łaski ze strony rządu; ten jednak nie raczył, jak ów obraz, do którego dziad przemawiał, odpowiedzieć ani razu.

W roku 1897, z powodu przyjazdu cara do Warszawy, zorganizował się był komitet obywatelski, mający stanować wobec cara reprezentację kraju. Dla zawiązania dyskusji z nim, aby nie stawać przed monarchą z gołymi rękami, zebrano dla niego na prezent 1,000.000 rb. Nie było jednak dyskusji, owszem mrgr. Z. Wielopolski, który stał na czele komitetu, jedyny chyba Polak na urzędzie państwowym, został usunięty ze stanowiska swego w ks. Łowickiem (zajął je po nim gen. Iwanow), a w r. z., kiedy z racji pobytu cara w Skierniewicach zdarzyła się nowa sposobność hołdu obywatelskiego, rząd

odebrał deputacyi charakter reprezentacyi polskiej, mianując do komitetu w połowie miejscowych Rosyan. W ten sposób wytepiono resztkę tradycyi wystąpień krajowych przed tronem.

Oto i cała polityka. A co się tyczy urzędów państwowych, to dzisiaj, poza paru jednostkami w sądownictwie i w Uniwersytecie, niema już zgola Polaków na stanowiskach wybitniejszych, jeżeli nie liczyć urzędnika do spraw zagranicznych przy gen. gub. warszawskim (*aux affaires étrangères*), uchodzącego, według dowcipnej gry słów, za człowieka «*étranger aux affaires*» (dalekiego od spraw). Społeczeństwo nasze jest w tem wyjątkowo pomyślnem położeniu, że nie toczy go grzyb biurokracyi, w czem podobne jest teraz do społeczeństwa w W. Ks. Poznańskim. Rząd, usuwając Polaków od urzędów, oddał nam dwie przysługi: 1) skierował inteligencyę do pracy wytwórczej i 2) uniemożliwił zrusyfikowanie inteligencyi, które tą drogą było najłatwiejsze. Typ Polaka biurokraty nie był sympatyczny dawniej, tembardziej byłby uciążliwy dla społeczeństwa po zrusyfikowaniu.

Rząd nie dał Królestwu cienia samorządu krajowego. Po wsiach istnieje coraz okrawany samorząd gminny, do którego — mówiąc nawiasem — inteligencya nie ma dostępu, samorząd oddany na poniewierkę naczelnikom powiatów i gubernatorom, miasta zaś, nie wyłączone

czając Warszawy, zarządzane są przez obco-krajowych burmistrzów, mianowanych od rządu. Ludność więc pozbawiona jest wszelkiej możności wpływania nawet na przebieg spraw natury czysto gospodarczej i — niestety — wykreślić musiała z zakresu swoich interesów umysłowych całą sferę spraw, dotyczących dobra publicznego. Powoli zacieśniało się pole wzrokowe, odzwyczajane od szerokich widnokręgów, lub zamykające się z bólu na widok obcej gospodarki i przywykło wreszcie ograniczać się widnokregiem spraw prywatnych i zawodowych lub ekonomicznych.

Obywatele kraju, który do niedawna wpływał na losy polityki światowej i był na drodze najwyższego rozwoju cywilizacyjnego, któremu żadne zadania życia publicznego nie były obce, dziś nie mogą się oddawać spokojnie pracy kulturalnej, ograniczani na każdym kroku w swojej legalnej działalności nawet według ustaw, przez rząd zatwierdzonych.

Wszystkim instytucjom publicznym narzucano język rosyjski do ksiąg i korespondencji i z atrybucji ich wyłączono wszystko, co mogło mieć szersze znaczenie społeczne, że przytoczymy jako przykład Warszawskie Towarzystwo Dobroczyńności, wprost prześladowane za wykonywanie przysługującego mu prawa w za-

kresie utrzymywania ochronek i czyteln bezpłatnych.

Towarzystwo Kredytowe ziemskie, mające swoje dyrekcye szczegółowe we wszystkich miastach gubernialnych Królestwa i dyrekcję główną w Warszawie, musiało się poddać mianowaniu Rosyanina na urząd prezesa, kontrolowane jest podejrzliwie przez rząd na każdym kroku, a — co gorsza — rząd pozwala sobie dysponować jego kapitałami (t. zw. fundusze użyteczności publicznej).

Oczywiście tam, gdzie u steru stoją kapitaliści, to nawet gdy instytucya ma charakter prywatny, rząd bez przeszkód wkracza w jej atrybucye za lada pretekstem i stara się ją zrusefikować. Za przykład służyć może kolej Warszawsko-Wiedeńska, gdzie rząd, z tytułu nader skromnych spraw swoich, narzuca Rosyan na urzędników, a teraz zastrzegł sobie wprost 50 procent urzędników Rosyan na budowanej przez tę kolej linii Warszawsko-Kaliskiej.

Ks. Imeretyński spostrzegł, że zupełne krępowanie społeczeństwa, nawet w jego sprawach ekonomicznych, doprowadzi rychło politykę rządu do absurdu, zezwolił więc na kilka instytucji samopomocy zawodowej, oraz na budowę kolei Kaliskiej z powyższem ograniczeniem, co wydało się ugodowcom zapowiedzią nowej pomyślnej ery dla kraju i takim dobrodziejstwem, że

na wieść o śmierci Imeretyńskiego, redakcyja ugodowego *Słowa* rzuciła projekt stworzenia funduszu stypendyjalnego imienia nieboszczyka. Ten szczegół jest jednym więcej dowodem, że romantyzm ugodowców płynie z duszy kapitalistów, którzy przy każdej sposobności, aż do ośmieszenia się, starają się dać wyraz swojej lojalności w gotówce.

Istotnie, tylko jedni kapitaliści (bankierzy i przemysłowcy), robiący świetne interesy na rynku wschodnim, mogą być twórcami tego rodzaju aktów hołdu i wdzięczności dla rządów carskich. Szlachta, dająca im się używać bezmyślnie do reprezentacyi, w znacznej części ożywiona tymi samemi ideałami szwindlu, sama przez się nie mogłaby wytworzyć prądu «ugodowego» w tym stylu. Ten sam Imeretyński nie pozwolił już na budowę kolei Zamojskiej, projektowanej przez hr. ordynata Zamoyskiego, a mającej na względzie głównie interesy rolnictwa.

Rolnictwo nasze nie zyskuje nic na połączeniu kraju z Rosyą, w interesie rolników leży raczej, aby między nami a Rosyą stanął z powrotem kordon celny. Przy dzisiejszych taryfach kolejowych, ułatwiających konkurencyę zboża rosyjskiego z naszym na rynku europejskim i w Królestwie, oraz wobec dostawy wołów stepowych i koni do Warszawy, rolnictwo

nasze znajdowałyby się w stanie oplakanym, gdyby się nie ratowało przemysłem rolnym. Istniejące od lat kilku gubernialne towarzystwa rolnicze staną się zapewne pożytecznym czynnikiem rozwoju ekonomicznego gospodarstw większych.

Z instytucyi publicznych w Warszawie większość ma charakter ekonomiczny; do takich należą: Tow. kredytowe miejskie, Tow. popierania przemysłu i handlu (filia petersburskiego), szereg banków, towarzystw ubezpieczeń i t. p. Stowarzyszenia z charakterem korporacyjnym, jak Tow. lekarskie, Kasa adwokatów przysięgłych, Kasa literacka, ograniczane są na każdym kroku i słabo się rozwijają; wymienić jeszcze należy Tow. ogrodnicze, aptekarskie, pszczelnicze, oraz stowarzyszenia sportowe: wioślarzy, cyklistów, łyżwiarzy. Na tow. gimnastyczne rząd dotąd nie zezwolił.

Praca w tak szczerpym zakresie spraw publicznych jest bardzo utrudniona z powodu narzuconego języka rosyjskiego, co zmusza do prowadzenia podwójnych ksiąg buchalteryjnych i protokołów. Rząd poszedł w tym kierunku tak daleko, że nawet Tow. akcyjne posługiwać się muszą w biurach językiem rosyjskim.

Jak widzimy, mieszkaniec Warszawy i Królestwa pozbawiony jest możności zajmowania się w drodze legalnej sprawami politycznymi,

narodowemi, a nawet społecznemi. Co gorsza, rozczarować się musieli nawet zwolennicy pracy organicznej co do tego, że pod batem kozackim można zajmować się kulturą umysłową społeczeństwa. Za rządów Imeretyńskiego pierzchnąć musiały złudzenia dawnych pozytywistów i ugodowców, pocieszających naród, że życie narodowe nie ginie po odebraniu mu form państwowych, że poza tem istnieje możliwość legalnej pracy nad rozwojem oświaty wśród ludu, budzeniem życia umysłowego, możliwość pracy twórczej, cywilizacyjnej. Wraz z zanikiem zdrowego zmysłu politycznego, zrodził się był w umysłach pewien ironiczny pogląd na przestarzałe aspiracje «szowinistów», niezdolnych z «żywymi» naprzód iść, nie umiejących się obejść bez życia państwowego. Wyklęto politykowanie, jako dążność reakcyjną, psującą robotę postępową w sferze kultury.

Rzeczywistość przekonała jednak niebawem, że owa praca postępową nie jest możliwą bez swobód politycznych, bez możliwości poruszania się w sprawach publicznych. Dosyć było takiemu Imeretyńskiemu wejrzeć bystrzej w naszą pracę kulturalną, aby jej legalność była jednym pociągnięciem pióra zakwestyonowaną. Za jego to rządów, tego błogosławionego przez ugodowców patrona, odebrano inteligencji polskiej prawo wszelkiego obcowania z ludem. Jednocześnie

zrobiono to w całej Rosyi względem inteligencji rosyjskiej, ale u nas uznano tę datę za erę dziejową, polegającą na odcięciu inteligencji z jej ideałami cywilizacyjnymi od niższych warstw społeczeństwa, które odtąd hodowane będą przez rząd na ogólnych ideach państwowo-rosyjskich. Rząd wziął na siebie kulturę ludu jednocześnie z produkcją wódki. Obie te rzeczy stały się monopolem rządu.

Powstały sławetne «Kuratorya trzeźwości», podyktowane rządowi rosyjskiemu przez właściwy mu geniusz obłudy. Za ich sprawą powstały w Warszawie i po miasteczkach herbarnie ludowe z dziennikami rosyjskimi, czytelnie rosyjskie przy szkołkach, zabawy ludowe na Pradze, teatr ludowy w Warszawie, chóry i teatry amatorskie rosyjsko-polskie robotnicze przy fabrykach monopolowych itp. Jednocześnie w biurze generał-gubernatora poczęto redagować pismo polskie dla ludu *Oświatę*, zaznajamiającą lud polski z jego ojczyzną w szerszem znaczeniu tego słowa, od Wisły do Uralu i dalej.

Pewna część inteligencji polskiej, ożywiona ideałami ugodowymi, która już przedtem obawiała się skutków wymykającej im się z rąk pracy oświatowej nad ludem, skutków, które mogłyby się nie podobać rządowi — poszła na rękę nowej organizacji społecznej. Znaleźli się ludzie, którzy dali wobec społeczeństwa firmę

rosyjskim w gruncie komitetom, wchodząc do nich i agitując na ich rzecz w prasie. Można było darować im to na razie, o ile wprowadzeni byli w błąd fałszywemi zapowiedziami rządu, ale potem, kiedy się przekonano, jaki charakter rząd nadaje tym robotom, pozostać mogli w organizacji tylko ludzie bez sumienia narodowego. Z punktu widzenia Rosyan, dla których ideałem kulturalnego ludu jest lud, zadowolający się herbata, i ci nasi obywatele wpadli w ciełący zachwyty na myśl o herbaciarniach, tak, jakby istotnie największem nieszczęściem naszym było pijaństwo ludu i jakby ten lud nie miał gdzie indziej dostępu do herbaty. Dla tej głupiej herbaty rzucono lud na ryzyko rusyfikacji przy pomocy pism rosyjskich w herbaciarniach. Szczęściem, lud okazał się mądrzejszym od naszych polityków i herbaciarni w tej formie nie popiera.

Na czele kuratorjum trzeźwości w Warszawie stoi oberpolicmajster, który teraz bierze się do steru każdej nowej instytucji, mającej opiekować się proletaryatem — ten sam policmajster, który jest głową owej strasznej «Ochrany», tj. tajnej policji politycznej.

Pewna część naszych filantropów nauczyła się szukać osłony pod skrzydłami tego urzędu, wprowadziła zwyczaj organizowania do spółki z policją przedsięwzięć społecznych. W ten spo-

sób powstało Tow. domów zarobkowych i nolegowych, oraz kuchni ruchomych. Głównym inicjatorem i twórcą tych zakładów był znany ugodowiec, ks. Z. Chelmicki, którego za tę poufałość z policją nazwano złośliwie «legatem stolicy apostołskiej przy policmajstrze warszawskim».

Zapewne, nie brak w tych usiłowaniach dobrych chęci, ale tak dalece brak w nich zmysłu narodowego, że pozostaną one w dziejach naszej kultury słupem granicznym, ostrzegającym, że dalej niewolno posuwać w pracy kulturalnej zabiegów o jej legalność bez krzywdy dla rozwoju narodowego. Nasz lud miejski, o którym się mówi, że jest zepsuty i skosmopolityzowany, odczuł instynktem niewłaściwość tej akcji filantropijnej i odwrócił się tyłem do kuchni ruchomych, które wskutek tego, pomimo, że były doskonale urządzone, wkrótce przerwały swą działalność. Lud sam usunął się z pod opieki nieproszonej, korzystają z niej tylko żebracy i szumowiny społeczne z Powiśla, dla których niewarto urządzać zabaw. Lud warszawski daje miastu świadectwo zdrowia moralnego i rękojmię, że tradycje Kilińskiego nie wyginą tutaj łatwo.

Z tego pobieżnego przeglądu życia publicznego w Warszawie, czytelnik galicyjski, korzystający ze swobód autonomicznych, łatwo wywnioskuje, jak ciężki jest żywot społeczeń-

stwa naszego w zaborze rosyjskim i że stoi ono obecnie na fatalnem rozdrożu. Albo podążyć ma drogą legalną, w porozumieniu z rządem rosyjskim, ryzykując cały dorobek cywilizacji polskiej i zdrowie ducha narodowego, albo pójdzie drogą pracy nielegalnej, ratując się od zagłady. Że pierwszą drogą podąży tylko mały odłam społeczeństwa i zginie tam bez chwały, a że drugą pójdzie większość, decydująca o dalszym rozwoju społeczeństwa — temu winien będzie sam rząd rosyjski, to będzie koniecznością, rzecz można, fizyczną otamowanego zewsząd życia narodowego.

V. Szkoły.

Charakter szkoły, jako instytucji nienawistnej rządowi. — Cywilizacja polska w rękach barbarzyńcy. — Walka z młodzieżą. — Brak szkół i drożyzna ich. — Łapówki jako środek arystokratyzacji szkoły. — Organizacja oświaty publicznej. — Szkoły fachowe wobec potrzeb oświaty i przemysłu. — Język rosyjski wykładowy. — Wpływ szkoły rosyjskiej na zdrowie i charakter młodzieży. — Nauka języka polskiego. — Przepisy o «nauczaniu tajnem».

Szkoła rosyjska dolega naszemu społeczeństwu podwójnie: 1) że wykłady w niej odbywają się w języku rosyjskim, nienawistnym dla ludności, a ideą jej przewodnią jest rusyfikacja i 2) że, niezależnie od jej szkodliwości politycznej, jest jak najgorzej zorganizowaną i prowadzoną pod względem edukacyjnym i wychowawczym.

Co do tej drugiej właściwości, należy sobie uprzytomnić, że w całym państwie rosyjskim szkolnictwo znajduje się na poziomie bardzo ni-

skim, zarówno pod względem wpływu na młodzież, jak i z powodu niedostatecznej ilości zakładów. Statyści rosyjscy z powodu ciągłych zaburzeń młodzieży szkolnej, zaczęli w ostatnich czasach zastanawiać się nad przyczynami tego chorobliwego stanu szkolnictwa i doszli do wniosku, że źródłem złego jest przestarzały system szkolny, głównie zaś łacina i greka. Społeczeństwo rosyjskie, zdradzające wiele zmysłu orientacyjnego w sprawach zagranicznej polityki, jest zupełnie niewyrobione pod względem społecznym i narodowym i nie zdaje sobie zgoła sprawy ze swych potrzeb wewnętrznych i niedomagań. Właściwie Rosyi nie można porównywać z żadnym społeczeństwem europejskim, nie przedstawia bowiem organizmu narodowego, któryby miał swój własny, poza rządem państwowym, organ myślenia. Więc i w sprawie szkolnej ów pogląd na przyczyny niedomagań podsunęty został publicystyce przez ministra i cara. Zamierzono zatem zreformować wykłady łaciny i greki, czem — nawiasem mówiąc — rząd ujął sobie niezmiernie ogół rosyjski, nienawidzący wszystkiego, co przypomina Europę i w gruncie nie zawdzięczający cywilizacyi rzymskiej.

Uwagę ogólną zwrócono na łacinę radykalnymi planami usunięcia jej ze szkoły, podczas gdy choroba tej szkoły tkwi w układzie społec-

czno-politycznym Rosyi, a mianowicie: 1) rząd rosyjski boi się szkoły, jako czynnika demokratyzacyi wiedzy i źródła krytycyzmu, 2) nie ma na nią pieniędzy, których zaledwie starczy na reprezentację państwową i wojsko, 3) nie posiada nauczycieli.

Rząd rosyjski widzi jeden tylko pożytek szkoły — edukowanie urzędników, trudno mu się bowiem posługiwać analfabetami; poza tem państwu potrzeba trochę techników i popów, wszystkie zaś inne cele oświatowe są rządowi obce. Trzeba to zrozumieć, że szkoła w Rosyi jest wytworem nienaturalnym, w państwie bowiem despotycznym, opartem na ciemnocie ludu, idei oświecenia publicznego rozwijać konsekwentnie nie można bez niebezpieczeństwa dla tronu. Szkoła w Rosyi jest złem koniecznym, które rząd kontrolować musi i powściągać. Śmiało rzec można, że gdyby nie względy przyzwoitości wobec Europy, rząd rosyjski zniósłby z wielką dla siebie i dla narodu ulgą wszystkie uniwersytety swoje, zastępując je koszarowemi uczelniami dla urzędników.

Od tego, co powyżej rzekłem, zaczyna się nasza kwestya szkolna w zaborze rosyjskim. Trudno o złośliwszą ironię dziejową nad ten widok pokrywania wyższej kultury umysłowej, historycznie wyrobionej, przez kulturę barbarzyńską. Rosya, w której nauka szkolna jest

nowością, znaną zaledwie od Piotra W., a upowszechnioną dopiero w wieku XIX., biorąc w antreprzyę oświatę publiczną społeczeństwa polskiego, nie może wywiązać się z zadania inaczej, jak przez uwsteczniczenie naszej starej kultury szkolnej. My, którzyśmy dzięki potrzebie uczenia się łaciny, od zarania swych dziejów kształcili się w szkołach, od 500 lat posiadali swój uniwersytet, a przed stu kilkudziesięciu laty imponowali światu znakomitemi ustawami i szkołami Komisji edukacyjnej, którzyśmy przed stuleciem w jednym okręgu Wileńskim posiadali więcej szkół ludowych i średnich, niż cała Rosya — dziś dzieci swoje uczymy u Rosyan, w szkołach, usuniętych z pod naszej kontroli.

Całe już pokolenia, obecnie żyjące, wychowały się w szkole rosyjskiej; pamięć istnienia języka polskiego w szkole przechowuje zaledwie garstka starców wymierających. Każdy lat dziesięć szkoły rosyjskiej w Warszawie przynosił nowe ograniczenia dla języka i personelu nauczycielskiego polskiego pochodzenia; obecnie wszystkie przedmioty wykładane są po rosyjsku, a profesorami są Rosyanie.

Będąc niedawno we Lwowie, pewnego popołudnia w niedzielę spotkałem na ulicy młodzież szkolną, dążącą pod wodzą profesorów na przechadzkę. Nieprzeliczone szeregi drobiazgu dzie-

cięcego z klas niższych i podrostków, w liczbie co najmniej 5.000 młodzieży, poprzedzała orkiestra gimnazjalistów, wygrywająca marsza z brawurą wojskową, a całość tej armii rozgwarzonej, radosnej, ubarwionej chorągiewkami, bez bojaźni stąpającej obok nauczycieli, wzruszyła mnie, Warszawiaka, do głębi. Na pierwszy rzut oka spostrzega się różnicę dwóch kultur, jakby ten kordon między nami był nie pojęciem geograficznym, lecz oddzielał od siebie dwie odległe epoki historyczne.

Pedagog rosyjski ma w sobie to, co bezwiednie nurtuje ducha rządu rosyjskiego, nieufność, nawet nienawiść do młodzieży. Atmosfera szkolna w Rosji przesycona jest tem uczuciem; szkoła przedstawia pole pracy, prowadzonej bez wiary w pożytek, lub głuchej walki między młodzieżą a wychowawcami. Łatwo zrozumieć, że ci pedagodzy, przeniesieni do Polski, nie mogą wytworzyć tutaj atmosfery lepszej. Apatya jednak i gnuśność, cechująca ich w ojczyźnie, tutaj ustąpić musi żywszej działalności wskutek jasno postawionego im zadania. W Polsce pedagog rosyjski ma przed sobą zadania polityczne, ma rusyfikować; to jest dla niego zrozumiałe, to go ożywia.

To też niepodobna wyobrazić sobie nic bardziej urągającego elementarnym zasadom pedagogicznym nad widok dziecka polskiego w ręk-

kach rosyjskiego wychowawcy. Nauczycieli w Rosyi jest znacznie mniej, niż potrzeba, a dobrych brak jest zupełnie; jeżeli się zważy, że na kresy dążą odpadki społeczeństwa rosyjskiego, nie mogące sobie znaleźć kąta na miejscu, to łatwo sobie wyobrazić, jakich wychowawców ma młodzież polska.

Z otrzymanych instrukcyi ludzie ci jedno byli zdolni zrozumieć, że jadą do Polski, aby z dzieci polskich robić obywateli szerokiej ojczyzny, przenikniętych duchem państwowym. Przez głowę nie przeszła im nigdy myśl o stosunku ojcowskim do tych dzieci wrogiego Rosyi kraju. Rodzina nie może zachęcać młodzieży do szanowania takich nauczycieli i dawania im wiary; dziecko wchodzi do szkoły z miną dyplomaty i w duszy urąga szkole. W innych warunkach atmosfera taka byłaby zabójczą dla niego, ale u nas punkt ciężkości wychowania pozostać musiał w domu, który, jak może, naprawia spaczone dusze dzieci.

Tych uczuć, z jakimi wy w Galicyi prowadzicie swoje dzieci do szkoły, powierzając z zaufaniem ich umysły i serca pieczy nauczycielskiej, tych uczuć, z jakimi patrzycie na młodzież, bawiącą się przy dźwiękach muzyki, nam tutaj nie dano zaznawać.

Szkół w Warszawie mamy bardzo mało; dostęp do nich trudny, dla mniej zamożnej więk-

szości prawie niemożliwy, więc dzieje się, że dziękować musimy losom za szczęście, skoro uda się umieścić dziecko w zakładzie. Nie jest to zadanie łatwe, nie wystarcza przygotować dziecko, nie wystarcza zwykły konkurs egzaminacyjny. Liczba kandydatów przewyższa zwykle kilkakrotnie (w klasach najniższych nierazdo 10 razy) ilość miejsc w klasie, potrzeba więc posiadać szczególny przywilej w szkole, aby się tam dostać. Rozstrzygają w tym wypadku, jak zawsze w stosunkach z władzami rosyjskimi, stosunki osobiste rodziców, a przede wszystkim łapówki. Oprócz wpisowego, które w gimnazyach wynosi rocznie 60 rubli (150 koron), wytworzyła się taksa prywatna, składana po cichu, często przez pośredników, dyrektorowi zakładu, a wynosząca od 50 do 150 rubli. Znane są gimnazyja, do których dostać się można jedynie za pośrednictwem np. właściciela sklepu; ten pośredniczy w przekupywaniu dyrektora.

Są to oczywiście nadużycia, ale najzupełniej w duchu poglądów rządu na oświatę, więc ustalają się w normę zwyczajową. Rząd rosyjski, jak rzekłem, obawia się demokratyzacji wiedzy i otacza szkołę możliwymi ograniczeniami, aby dostępną była jedynie uprzywilejowanym warstwom społecznym. Przed kilku laty wydano szczegółowe przepisy, odsuwające od szkół średnich dzieci, nie mające dostatecznego utrzy-

mania, a zakazano bezwzględnie przyjmować do gimnazyum młodzież pewnych sfer, mianowicie dzieci szynkarzy, lokajów, woźniców, faktorów itp. Przepisy te są zbędne wobec przytoczonego wyżej zwyczaju licytowania się na łapówki, które uniemożliwiają dostęp do szkoły sferom niezamożnym.

W ciągu trzech ostatnich dziesiątków lat wieku ubiegłego przepadł w Królestwie Polskiem cały nasz dorobek społeczny, do jakiegośmi doszli poprzednio w oświacie szkolnej. Dawne szkoły wydziałowe i początkowo gimnazya wy dobywały pod słońce cywilizacyi wiele jednostek z ludu, mających możność małym kosztem uczyć się w szkołach. Znikły na prowincyi, w miastach powiatowych, owe konwikty, do których mieszczanie, drobna szlachta i chłopci dowozili dzieciom pożywienie w naturze; szkoła stała się napowrót arystokratyczną. Tem w znacznej części tłumaczy się nader smutny objaw opustoszenia seminaryów duchownych i braku księży, objaw dla rządu bardzo pocieszający.

Przerywając tę ogólną charakterystykę ducha szkoły rosyjskiej, podać muszę dla informacyi następujące szczegóły, dotyczące organizacyi szkolnej. W Królestwie Polskiem istnieje podział szkół na niższe, średnie i wyższe. Do pierwszej kategorii należą po wsiach szkoły gminne, a w miastach — miejskie. Nauka nie

jest obowiązkowa, jak w Galicyi. Obecnie rząd postanowił zakładać szkoły wiejskie obok gminnych rządowe, w rodzaju tych parafialnych, z którymi na Litwie walczył biskup Zwierowicz. Szkółek gminnych jest mało, dzieci musiałyby do nich chodzić po 10 wiorst i więcej. Ale nie chodzi, chłopci bowiem są tyle uświadomieni narodowo, że nie pragną dla dzieci nauki języka rosyjskiego, inteligencya zaś do szkół tych bynajmniej ich nie namawia. Społeczeństwo musiało w tym duchu się zdecydować; lepiej pozostawić lud jego własnej przemyślności w sprawie oświaty. Po wsiach rozwinąć się musiała nauka nielegalna przy pomocy nauczycieli wędrownych i rodziców. Analfabetyzm wśród ludu, pomimo braku szkół, zmniejsza się, a zapotrzebowanie bibliotek i pism coraz się zwiększa. W Warszawie dla ludu istnieje kilkadziesiąt szkółek miejskich jedno- lub dwuklasowych i niedzielno-rzemieślniczych.

Gimnazya rządowe (szkoły średnie) istnieją w każdym mieście gubernialnem, jedno męskie i jedno żeńskie; w Warszawie mamy 6 męskich i 4 żeńskie (nie licząc gimnazyum na Pradze). Progimnazyów (4-ro klasowe) jest kilka na prowincyi i 4 w Warszawie. Oczywiście jest to ilość niewystarczająca, sfery bowiem oświecone nie mogą pójść za przykładem ludu, zmuszone zaopatrywać dzieci w dyplomy. Wobec przepel-

nieniu gimnazyów powstają szkoły prywatne, z których kilka odpowiada programem gimnazyom. Jest takich 4 męskich i 22 żeńskich; oprócz tego z krótszym kursem kilkadziesiąt żeńskich i kilkanaście męskich. Szkoły prywatne znajdują się pod ścisłą kontrolą inspekcji rządowej, wykłady odbywają się w nich również po rosyjsku, przyczem nauczyciele języka rosyjskiego narzucani są kierownikom wbrew ich woli. Są to więc właściwie uczelnie rządowe, prowadzone na ryzyko przedsiębiorców prywatnych. Szkoły prywatne, które pozyskały pewne przywileje, właściwe szkołom rządowym (co do dyplomów), utrzymywać muszą na swój koszt rządowego dyrektora, oraz inspektora, oczywiście Rosyan.

W ostatnich czasach, pod wpływem ducha epoki i zmienionych potrzeb ekonomiczno-społecznych, namnożyło się w Warszawie wiele szkół specjalnych, przeważnie handlowych, pozostających pod kontrolą ministerjum skarbu. Obecnie Warszawa liczy szkół handlowych 8 męskich (z tych dwie 7-mio-klasowe) i 3 żeńskie. Nie będą jednak wkraczał w dziedzinę wykształcenia fachowego, to tylko zaznaczyć muszę, że nowy prąd w tym kierunku od pewnego czasu przez rząd popierany, obok niezaprzeczo-nych korzyści dla rozwoju ekonomicznego kraju, musi spowodować pewne zmiany w dotychczas-

sowych kadrach naszej inteligencji. W warunkach, w jakich żyjemy, potrzeba nam więcej, niż gdziekolwiek, ludzi wysoko oświeconych. Ów pęd do wykształcenia fachowego nie jest przytem objawem zdemokratyzowania się szkoły, nie rozszerza oświaty w niższych sferach społecznych; jest on wynikiem z jednej strony braku miejsc w szkołach średnich typu ogólnego, a z drugiej strony zniechęcenia do nauki uniwersyteckiej. Uczą się w szkołach wyższych, jak dawniej, tylko pewne sfery, z tą jednak różnicą, że coraz mniej dążą one do wykształcenia ogólnego dla wiedzy samej.

To rozdwojenie prądu oświatowego dało się uczuć Uniwersytetowi, do którego, rzecz można, uczęszcza tylko ta młodzież, która się nie mogła dostać do Politechniki (założonej przed paru laty). Gdyby moda kształcenia się technicznego miała się potęgować, to jest obawa, że Uniwersytet stałby się ucieczką jednostek mniej zdolnych, które nie zwyciężyły na konkursie egzaminacyjnym w Politechnice. Byłaby to krzywda podwójna dla społeczeństwa, bo, jak się rzekło, za mało mamy ludzi z wykształceniem naukowym, a z drugiej strony, Politechnika warszawska nie może przynieść owoców tak pożądanych, jakich spodziewali się jej założyciele.

Uniwersytet warszawski z katedrami, obsadzonymi przez odpadki rosyjskich sił nauko-

wych, źle uposażony, jest jeszcze gorszy, niż go rząd widzieć pragnie. Ale młodzież uniwersytecka, kształcąca się teoretycznie, może uzupełniać sama swoją wiedzę, jeżeli do nauki ma zapał; w Politechnice zaś sama, bez odpowiednich wzorów i kierowników, nic z siebie nie zrobi, a — niestety — zakład ten, również przez Rosyan obsadzony, nie stoi na wysokości zadania.

Przemysł nasz ma bardzo wysokie potrzeby techniczne i wątpić można, czy zechce posługiwać się technikami, kształconymi przez niedouczonych Rosyan. Widzimy przecież, że przemysłowcy nasi w Warszawie i w Łodzi nie mają dzisiaj pożytku z wychowañców Politechniki petersburskiej i pomimo chęci, uciekać się muszą do inżynierów wykształconych w Charlottenburgu lub w Zurichu; cóż więc pocznie wychowaniec Politechniki warszawskiej, która doborem sił profesorskich nie wyrównywa petersburskiej? W Rosyi brak profesorów na potrzeby Petersburga, więc do Warszawy nie przysłano orłów.

Przypatrzmy się z kolei, w jaki sposób w powyższych warunkach, zlekka tutaj naszkicowanych, szkoła rosyjska oddziaływa na kulturę polską. Dzieci nasze najusilniej przykładają się do języka rosyjskiego, do historyi i geografii Rosyi; nie miałyby znaczenia postępy w innych

naukach, gdyby uczeń nie celował w tym kierunku. To też wyniki są zdumiewające. Przed paru laty czasopismo urzędowe ministerstwa oświaty stwierdziło na podstawie badania ćwiczeń maturzystów wszystkich okręgów naukowych, że najlepsze wypracowania pochodzą z okręgu warszawskiego. Gimnazjaliści, którzy wskutek prześladowania za jakieś przewinienia natury politycznej zmuszeni byli dla dokończenia kursu przenieść się do gimnazyów w głębi cesarstwa, opowiadają, że ich znajomości języka rosyjskiego, oczywiście teoretycznej, młodzież miejscowa, nie umiejąca pisać ortograficznie, nie mogła sprostać. Naogół uczniowie Polacy w gimnazyach rosyjskich wyprzedzają Rosyan we wszystkich naukach, choćby dlatego, że nie uprawiają pijaństwa wzorem kolegów Rosyan, którzy chodzą z wódką do klasy. Mówiąc nawiasem, owo pijaństwo w szkołach jest przedmiotem niemałej troski dla postępowej prasy rosyjskiej.

Przyrodzone zdolności naszej młodzieży w walce z niesłychanymi trudnościami, jakie przedstawia wykładowy język rosyjski i zła pedagogia Rosyan, ulegać muszą przytępieniu, a trudności są tak wielkie, że przez tortury szkoły średniej przedostaje się zaledwie mały procent tych, którzy ją zaczęli. Chłopiec średnich zdolności nie zawsze jest w stanie ją prze-

brnąć; po kilku latach, zmęczony pracą nadmierną, tępieje i wycofuje się ze szranków. Tylko najzdolniejsi przechodzą szkołę o własnych siłach; większość uciekać się musi do t. zw. korepetytorów (z klas wyższych), którzy męczą do późnej nocy wyczerpane z sił dzieci. Strażny to widok. Dzieci bez odpoczynku i jedzenia siedzą w szkole do godz. 3 po południu, a potem od samego obiadu często do godz. 12 w nocy «obkuwają» lekcy, których nauczyciel nie umiał im uprzystępnić. Zważywszy brak wszelkich ćwiczeń fizycznych i dogodnych budowlisk szkolnych, łatwo wyobrazimy sobie, że młodzież nasza, po ukończeniu szkół nie jest zdolna do żadnej systematycznej, wyętej pracy. W czasie egzaminów uniwersyteckich szpitale zapełniają się chorymi akademikami, a w rezultacie przednie szeregi społeczeństwa wypełnione są suchotnikami i neurastenikami.

Pod względem moralnym szkoła rosyjska szerzy nie mniejsze u nas spustoszenie. Uniwersytet w atmosferze swojej, którą rząd usiłuje bezskutecznie zatruwać, prostuje po części spaczony pojęcia i charaktery; ale biada tym, którzy, utknąwszy na przeszkodzie w szkole średniej, zaniechali dalszej pracy nad sobą. Gdyby nie dążność samokształcenia się i odżywczy prąd patryotyczny, przedostający się do młodzieży ze społeczeństwa przez jej organizacje,

szkoła zalewałaby kraj rusyfikatorami, barbarzyńcami bez elementarnych wiadomości o kraju własnym, o przeszłości narodu, przytem ludźmi bez charakteru, szpiegami i sprzedawczykami.

Przedewszystkiem dzieci nasze nie mają gdzie się uczyć języka polskiego. Od szeregu lat usunięty jest on ze szkół ludowych i średnich. W roku 1899 komitet ministrów wyjaśnił, że w gimnazyach może być wykładany język polski tam, gdzie okaże się to niezbędne ze względów pedagogicznych. Oczywiście, mało gdzie okazało się to niezbędnem, a program wykładów tego języka, opracowany w roku następnym, nie usprawiedliwił nadziei, pokładanych w tym akcie prawodawczym przez ugodowców. Dostyc powiedzieć, że nauczyciel wyklada gramatykę języka polskiego po rosyjsku według podręcznika Grubeckiego, co ośmiesza całą tę naukę. Podręcznik ten jest rosyjski, a o wartości jego świadczy szczegół z praktyki nauczycielskiej autora. Pouczał on, że wszystko, co jest ponure i długie pisze się przez *u*, np. szczur, sznur. Rozbawieni tym wykładem uczniowie pytali go: «A jeśli sznur jest krótki, panie profesorze, czy go pisać przez *ó*?»

Gorzej jest w szkołkach miejskich i wogóle wśród sfer niezamożnych w mieście, które nie mogą uzupełniać nauki szkolnej. W ostatnich latach okazuje się coraz częściej, że przy egza-

minach wstępnych do gimnazyum dzieci polskie nie umieją zgoła liter polskich.

Położenie jest rozpaczliwe. Rząd rosyjski wie, że edukacya prywatna naprawiać musi i uzupełniać naukę szkolną, więc pomyślał i o tem, aby nauczaniu prywatnemu zapobiedz. Dawniej już (w r. 1892) zastosował był w Krajach zabranych surowe przepisy o «tajnem nauczaniu», rozumiejąc pod tym terminem wszelką naukę bez kontroli władz, zwłaszcza zbiorową. W r. 1900 dla zrównoważenia dobrodziejstwa, polegającego na wprowadzeniu do szkół gramatyki Grubeckiego, wprowadzono te przepisy i do Królestwa Polskiego. Odtąd wszelka nauka zbiorowa, choćby kilku dzieci w domu prywatnym, jest ścigana pod grozą grzywny, a policya przy pomocy stróżów coraz częściej czyni w tym celu obławy.

VI. Życie towarzyskie.

Rys zasadniczy. — Udomowienie stosunków towarzyskich. — Przywileje kobiet stąd płynące. — Typ męski. — Mieszkanie warszawskie. — Na pastwę gości. — Karnawał. — Uprywatnianie zebrań publicznych. — Kontrola policyjna na balach i odczytach. — Wyścigi warszawskie. — Arystokracja się bawi. — Rozpusta idzie z góry. — W roli kłownów.

Przedstawmy sobie dwór w jakimś Soplicowie w porze letniej, gdzie, oprócz licznej rodziny i domowników, bawi podczas wakacyj ciżba gości. Życie towarzyskie w tym dworze inaczej będzie wyglądało w dzień pogodny, kiedy wszyscy wylegną do zajęć gospodarskich, na łowy, lub grzybobranie, inaczej zaś w słotę, która zniewała do siedzenia w domu wszystkich, prócz ekonomów, mających na oku niezbędne sprawy gospodarskie. W takie dni dżdżyste i chłodne duszna izba wydaje się rajem, towarzystwo ra-deby okna zasłonić, by światła bożego nie widzieć, z radością wita światło sztuczne wieczno-

rem i chętnie skupia się w kółka pod byle jakim pozorem bezika, gry w łapki, lub tańca. Choćby to byli wszyscy ludzie rolni z zawodu i z krwi, choćby za oknem stało widmo nieudanych, zgniłych od dżdżu zbiorów, urok życia towarzyskiego da im zapomnienie; owszem zabawa będzie szła tem lepiej, im pogoda będzie gorsza, im ciężej stawać się będzie w sercu na myśl o tem, co się dzieje na świecie poza mi-lem zaciszem domowem.

Do takiego dworu podobne jest zbiorowisko wielkowiejskie. Kto porówna u nas takie ogniska życia, jak Lwów i Warszawa, ten przyznać musi trafność naszemu porównaniu. Oczywiście uwzględnić należy różnicę wielkości tych miast. Lwów nie ma w swych murach tylu «gości», co Warszawa, tylu mieszkańców zamożnych, dla których życie towarzyskie byłoby zadaniem głównem lub jedynem. Lwów pod względem towarzyskim — to dwór w dniu pogodnym, wzywającym wszystkich do pracy pod niebem otwartem; podczas gdy Warszawa i zajęcia swoje i zabawy udomowić musiała, zamykając okna, za które wieczna mgła i chłód.

Każde środowisko rozporządza pewnym zapasem energii, którą tak czy owak w zbiorowym wysiłku wyładować musi. Gdzie życie publiczne jest stłumione, wyłączone z zakresu praw obywatelskich, tam jednostka, poza pracą

na chleb powszedni, szuka ujścia dla swych instynktów społecznych w życiu towarzyskiem — salonowem lub ulicznym. Cechą charakterystyczną stosunków towarzyskich Warszawy jest ich udomowienie; nie place publiczne, nie sale posiedzeń są terenem tych stosunków, jak gdzie indziej, lecz dom prywatny.

W takich warunkach życie towarzyskie ma wszystkie cechy owych czasów, w dworku wiejskim w porze deszczu. O jego charakterze decyduje przede wszystkim to, że z natury rzeczy poddawać się ono musi komendzie kobiet, kapłanek domowego ogniska, królowych salonu itp. Jest to chyba los powszechny społeczeństw, zaniedbujących bądź z musu, bądź z próżniactwa życie publiczne, że niewieścieją. Tak chyba było w starym Rzymie, tak było wszędzie w czasach dezorganizacji społecznej.

Jest to dla Warszawy rys znamieny i należyce dotąd nie zbadany w związku z uciskiem politycznym, ta przewaga kobiet. Obyczajowo jest to rys nawet piękny, świadczący o wysokiej kulturze tradycyjnej mężczyzn, umiających oddać kobiecie, co jest kobiecie, ale pod względem społecznym szkodliwy.

Przedstawmy sobie, że zebrać się musi kilku ludzi na naradę w ważnej kwestyi społecznej. We Lwowie dadzą im na ten cel bodaj jedną z sal w Ratuszu; w Warszawie narady takie

nie są dozwolone, trzeba się z niemi schronić do gościnnego domu prywatnego, tu zaś nadać mu cechę zebrania towarzyskiego i mimo woli (zwłaszcza przy pewnej dworskości) odebrać mu wobec pani domu, podającej herbatę, wszelkie cechy surowej powagi, jaką powinna mieć praca obowiązkowa. Zebrania, odbywające się w salonie prywatnym, muszą być jednostronne, jako ograniczone pewną sferą towarzyską, następnie przebieg rozpraw uwarunkowany jest kurtuazją względem gospodarza domu, a nawet jeśli biorą w nich udział kobiety, przybiera charakter rozrywki towarzyskiej. Za mały jest przedział między życiem towarzyskiem a publicznem i ten przedział zbyt często niknie, wyrównywany delikatną ręką kobiety.

Literatura i prasa warszawska jest wyrazem tej obyczajowości towarzyskiej, jest obrazem owej dyskusyi nawet na tematy publiczne, zwróconej do kobiet. Typowy literat i dziennikarz warszawski pisze tak, jakby nie było czytelników mężczyzn, apelując do smaku i opinii kobiet. Gdzież indziej tak często, jak tutaj, spotykałoby się zwroty dziennikarskie do «nadbnych czytelniczek», «ciekawych czytelniczek» itp.? Albo gdzie powieści są takie, jak Gawalewicza, oparte na plotce, pisane z niewieściego punktu widzenia.

Spółczeństwo, skupiające wszystko w salo-

nach, musiało w ciągu tylu dziesiątków lat wyrobić odrębny typ człowieka inteligentnego, niezawsze uspołecznionego i myślącego politycznie, ale zawsze gładkiego w obejściu, umiejącego rozmawiać w towarzystwie z kobietami. Typ salonowca «bawidamka» mało już jest znany wam we Lwowie, gdzie młodzież kształci się, «politykuje» i robi kariery nie w salonach, lecz pod otwartym niebem życia publicznego. Ciężko by grzeszył, ktoby widział niższość tej młodzieży, wchodzącej w paltocie i z laską do salonu, nie umiejącej nosić fraka — w porównaniu z młodzieżą warszawską. Owe fraki i obowiązki towarzyskie są nie siłą, lecz ciężarem młodzieży warszawskiej.

Dosyć jest obejrzeć typowe mieszkanie warszawskie, aby poznać charakterystyczne znamię płynącego w niem życia. Jest to mieszkanie, obmyślane z góry na przyjmowanie gości. Pokoje, przeznaczone na sypialnię i pracę, są bardzo małe, źle oświetlone, tak małe, że przy ich ścianie zaledwie mieści się łóżko, lub biurko. Widać, że mieszkańcy znoszą wielką niewygodę, ale za to w każdym mieszkaniu istnieje salonik, zajmujący nieraz więcej niż połowę obszaru całego lokalu, przeznaczony wyłącznie na podejmowanie gości. Z tej najpiękniejszej izby domownicy nie mają dla siebie żadnego pożytku, zwłaszcza dzieciom nie wolno przebywać w tej

świątyni domowej. Każde mieszkanie warszawskie jest tak pomyślane, aby w razie potrzeby można w niem było urządzić zabawę z tańcami.

Cały rok stoi ono otworem dla gości. Europejczyk nie dałby już wiary, że mogą istnieć społeczeństwa, gdzie jednostka nie ma gwarantowanego spokoju we własnem mieszkaniu. W Warszawie niema takiego dnia, ani takiej godziny, kiedyby można być pewnym, że lada chwila nie będzie się miało gości. Przychodzą oni o każdej porze dnia bądź w interesie, bądź z pożegnaniem czy powitaniem, bądź też «tak sobie», aby się dowiedzieć «co słychać».

Oczywiście, gdy się tak dużo «bywa», wypada urządzić przyjęcia wieczorne; co wieczór więc warszawiak ma gdzieś herbatkę proszoną, na którą przychodzi o 10, a wychodzi z niej o 2 w nocy.

Kiedy zaś przyjdzie karnawał, w każdej kamienicy codzien gdzieś tańczą, niemal na każdym piętrze. Jednocześnie we wszystkich salach klubowych, koncertowych i odczytowych odbywają się bale publiczne. Karnawał w Warszawie jest okresem największego ożywienia towarzyskiego; miasto tańczy od strychu do suteren, jakby je opętał głos jakiegoś fletu zaczerpniętego. Że bawi się w ten sposób arystokracja w pałacach i niższe warstwy na «srebrnych» salach — to nic dziwnego, bo te sfery

i w innych miastach europejskich jeszcze balują, ale że karnawał porywa w wir tańca inteligencję, to wytlómaczyć można jedynie owem przedłużeniem się mężczyzn u kobiet, które po całorocznem ścieraniu się słownem w salonikach, mają prawo żądania od mężczyzn zabawy na seryo.

Prasa warszawska traktuje owe tańce również seryo. Dzienniki mają na każdym balu publicznym i na wielu prywatnych swoich sprawozdawców, którzy nazajutrz opisują szczegółowo przebieg zabawy, a nawet stroje dam. W opisach tych roi się od nazwisk gospodyń i gospodarzy, wymieniane są tancerki najurodziwsze lub najstrojniejsze, a te, które otrzymały palmę pierwszeństwa, głośne są w całym mieście jako «królowe», wodzireje zaś sięgają miary bohaterów.

Warszawa bawić się umie, ale w tej zabawie jest coś smutnego, jeśli się zważy, że przyczyną tego zapamiętania w tańcu jest mur więzienny, nie pozwalający energii towarzyskiej wyładowywać się w pracy społecznej pod otwartym niebem wolności.

Rzućmy jednak zasłonę na stosunki towarzyskie prywatne, będące niejako rozszerzeniem życia rodzinnego, a pozostałe wskutek specjalnych warunków z lat dawnych, kiedy gościnność domowa była jedynym czynnikiem towarzyskim.

Pomimo wielce zmienionych w ostatnich dziesiątkach lat stosunków społeczno-ekonomicznych, znoszących z powierzchni życia patryarchalność rodzinną, która robiła z mieszkań prywatnych ogniska naturalne życia towarzyskiego, warunki polityczne zmusiły Warszawę do sztucznego zachowania przeżytych form, ale tylko form. Istota dzisiejszych zebrań towarzyskich w domach prywatnych jest nowa.

Dawniej zamożna rodzina rozszerzała nieraz tak dalece swoje koligacje i związki towarzyskie, że zebrania, w jej salonie urządzone, ilościowo mogły sprostać dzisiejszym publicznym, ale były to zebrania pod względem doboru istotnie prywatne. Obecnie, pod naciskiem warunków zewnętrznych, odbywa się proces inny: zebrania towarzyskie, z natury swojej publiczne, dokonywane na mocy doboru, że tak powiem, ulicznego, uprywatniają się, chroniąc się pod dach prywatny.

Doszło do tego, że zgromadzenia towarzyskie, złożone z kilkuset osób, a zwolywane z powodu uroczystości inauguracyjnych, odbywają się w salonach prywatnych kosztem gospodarza domu. Wymienimy trzy takie zebrania, uskutecznione z wiedzą policyi na odpowiedzialność gościnnych gospodarzy. W r. 1898, z powodu odsłonięcia pomnika Mickiewicza, członek komitetu budowy tego pomnika, baron Leopold

Kronenberg, widząc, że nie da się inaczej zebrać ludzi na ucztę, zaprosił do siebie około tysiąca osób, nie pomijając nawet dygnitarzy rządowych. Przykład ten pociągnął za sobą inne. W r. 1900 podobną ucztę, jeszcze okazalszą, wyprawił w pałacu Błękitnym ordynat hr. Maurycy Zamoyski z powodu otwarcia nowego gmachu Towarz. Sztuk Pięknych. W r. 1901 otwarcie gmachu Filharmonii dało sposobność p. Kronenbergowi do ponownego zebrania gości w swoim pałacu.

Jest to nowy, nieznanym czasom dawnym typ zebrań towarzyskich, wywoływanych zdarzeniami publicznymi i z musu uprzywatnianych na mocy milczącego porozumienia między potentatem, mającym pałac, a publicznością, nie mającą pałaców publicznych i swobody zebrań. Kronenberg, Zamoyski nie znają osobiście dziesiątej części swoich gości, a ci goście idą do nich nie dla ich osób, jak się chodziło na recepcyje dworskie, lecz jako na zebranie publiczne w dniu uroczystym.

Na rautach takich oczywiście przestrzegana jest małomówność toastowa, ale rząd nie zezwoliłby z taką łatwością na zwolywanie ich do miejsc publicznych, choćby pod kontrolą surowszą. Woli on składać je na odpowiedzialność jednostek możliwych, niż na odpowiedzialność politycy, a w tem zaufaniu rządu do magnatów

tkwi charakterystyczny rys naszych stosunków politycznych.

Powyższy typ zebrań jest jednak wytworem nie pałaców, lecz całej Warszawy. Na małą skalę każdy dom warszawski jest w miniaturze takim Kronenbergiem lub Zamoyskim, oddającym swój dach i swój spokój na użytek gościnności, która w innych warunkach byłaby już anachronizmem. Przeto rodacy z innych zabiorów źle robią, wysmiewając wybujałe skłonności towarzyskie Warszawiaków, ich zamiłowanie życia salonikowego. Wysmiewają się w ten sposób mieszkańcy Galicyi, dla których ta forma życia towarzyskiego jest już przeżytkiem, wysmiewają się rodacy z krajów zabranych, które — niestety — nie mogły wytworzyć ani życia publicznego własnego, ani odpowiedniego surogatu towarzyskiego i nie rozumieją, że jest to dowodem żywotności Warszawy, iż potrafi znaleźć w oplakanych warunkach swoistą formę dla swych nader złożonych już dzisiaj potrzeb społecznych i umysłowych.

Rząd rozumie doskonale, że nurtu życia umysłowego nie wysuszy tak rychło środkami policyjnymi, działając jedynie na środowiska publiczne, że ono, wypędzane z sal publicznych, gdzieś podziąć się musi; rozciąga więc kontrolę również na zebrania prywatne, jak to zaznaczyłem w rozdziale «Opieka policyjna». Niestety,

policya niebezpieczeństwo przesadza; to, co się dzieje w salonach prywatnych i publicznych Warszawy, mogłoby się naogół odbywać bezpiecznie pod okiem policji, bo myśl polityczna, któraby mogła ją niepokoić, dostępna zwłaszcza w większym zebraniom, musiała w warunkach ciągłego teroru ze strony rządu wyjałowić w szerokich warstwach inteligencji, lub nie zdołała się wyrobić. Na owych licznych «fiksach», «five o'clockach», «czarnych kawach», na których coraz łatwiej o szansę obcowania ze szpiegiem, dyskusya ślizga się najczęściej po powierzchni życia, z lubością wypoczywając na sprawach teatralnych, lub literackich, a jest to już wynikiem przewagi towarzyskiej kobiet, że salony stają się pod tym względem szkołą wstrętnego snobizmu, myślenia modnego.

Pod względem politycznym w parze ze zdawkową czułością w rzeczach narodowych, szerzoną przez kobiety, rozwija się tępa bierność umysłów, którym się wydaje, że chwila dziejowa wymaga od nich nie czynnego udziału, lecz obserwacyi i dyskusyi, że wzruszenia patriotyczne, odbierane w łożu obserwatorskiej, wyrazy oburzenia i plotki wyczerpują zadania narodowe obywatela. To też charakterystycznym rysem nawet męskich zebrań prywatnych, złożonych z ludzi nader światłych, jest jałowe utyskiwanie, lub chęć zebrania dokładnych -ni

formacji o tem, co się zdarzyło w najbliższym świecie politycznym; wszelka jednak próba postawienia rozpraw na gruncie praktycznym, na gruncie zagadnienia, co czynić należy nam samym, aby złemu zapobiedz, nie wejdzie na porządek dzienny.

Niestety więc owo zamknięte życie towarzyskie przybiera najczęściej postać rozrywki przymusowej w dworku wiejskim podczas deszczu.

Nie brak w Warszawie zebrań publicznych, ale te noszą przeważnie charakter zabawy, nie mającej w sobie pierwiastku wymiany myśli. W ostatnich latach utrwaliły się zabawy sportowe, urządzone przez kilka stowarzyszeń. Działalność zwłaszcza Towarzystwa wioślarskiego i cyklistów w znaczeniu towarzyskiem okazała się pożyteczną, stworzyły one bowiem, w braku wszelkich innych, dogodną podstawę zrzeszania się towarzyskiego. Chlubną również kartę w dziejach tego zrzeszania zdobyła «Lutnia» warszawska, doskonale zorganizowana jako stowarzyszenie.

Do jakiego stopnia rząd obawia się zebrań publicznych, świadczy szczegół, przytoczony już wyżej, że na pewnym balu strzegło porządku 120 osób służby policyjnej. Cóż więc mówić o zebraniach, gdzie przewidziana jest jaka taka wymiana myśli! W r. z. policja zabroniła Lutnistom wygłaszania toastów na wieczornicy

swego stowarzyszenia. Był to obraz tragi-komiczny, kiedy w wielkiej sali podczas uczty gospodarze, pragnący wyminąć zakaz policyi, wznosili w górę kielichy, wyrażając sposobem pantominy, do kogo toast jest zwrócony. Obecny komisarz policyi i tego wzbraniał.

Wyobraźmy więc sobie, w jakim położeniu znajduje się stowarzyszenie, pragnące urządzić seryę odczytów bądź w celu powiększenia swoich dochodów, bądź też w celu podnoszenia kultury literackiej, do czego ma prawo n. p. Kasa Literacka. Aby uzyskać pozwolenie na odczyty, trzeba wprzód przeprowadzić przez kancelaryę general-gubernatora listę prelegentów, a jak trudno jest tę listę ułożyć, dowodzi praktyka Kasy Literackiej, której w roku zeszłym, jak się dowiaduję, wykreślono z listy, bardzo ostrożnie dobranej, trzy czwarte nazwisk. Od czasów Apuchtina, teksty odczytów podlegają cenzurze władzy szkolnej, mianowicie kancelaryi kuratora okręgu szkolnego. Nie dość tego; odczyt musi być złożony w kancelaryi w przekładzie rosyjskim, a że urzędnicy mają czasu mało, więc formalności przedwstępne trwają kilka miesięcy. Łatwo sobie wyobrazić, ile trudu i kłopotu wymaga doprowadzenie do skutku seryi odczytów.

W ogólnej opresyi policyjnej jakiż kierunek ma przybrać publiczne życie towarzyskie? Jest

jedno pole, któremu rząd sprzyja — pole wyścigowe. Stosunkom, wytworzonym przez Tow. wyścigów konnych, należy się przypatrzeć, aby się przekonać, za jaką cenę osiągnąć możemy swobodę w ruchach. W działalności publicznej, jak zaznaczałem, pewną swobodę ruchów zyskały te instytucje, które się poddały pod zarząd Rosyan (kuratoryum trzeźwości, domy noclegowe itp.); w dziedzinie stosunków towarzyskich największą rolę odgrywa dzisiaj Tow. wyścigów konnych, pozostające całkowicie w rękę arystokracji, która dopuściła do swego towarzystwa Rosyan, a nawet, uciekwszy się pod protektorat rządu, pozyskała dla swej instytucji herb państwowy i miano «Cesarskiej».

Działalność tej instytucji ma znaczenie dla Warszawy stałej, peryodycznej kłęski, zarówno ekonomicznej i obyczajowej, jak i narodowej. Wyścigi konne stworzyły wyłom, przez który arystokracja, zmieszana z Rosyanami, weszła w obcowanie towarzyskie z ogółem ludności. Nigdzie dotąd ten ogół nie stykał się z arystokracją, zwłaszcza z tą końską. Jest to sfera obca narodowi, przebywająca chętnie w Petersburgu, lub za granicą, żebrząca o mundury szambelańskie, sprzedająca majątki Rosyanom, uczęszczająca na nabożeństwa galowe w soborze prawosławnym, a pod względem obyczajowym cynicznie rozpustna, chwalać się nierzą-

dem własnych kobiet. Warszawa stroni zarówno od arystokracji, jak i od Rosyan, z którymi nie utrzymuje stosunków towarzyskich. Ale tutaj wkradł się czynnik nie towarzyski i nie sportowy — totalizator, obliczony na spekulowanie na ludzkich namiętnościach.

Wścigi konne odgrywają rolę podwójną. Dla arystokracji stanowią zabawę świąteczną, która daje jej możność popisywania się swoimi końmi i kobietami, oraz sposobność zawiązywania stosunków towarzyskich z Rosyanami na gruncie neutralnym; z drugiej zaś strony rzucają one pod stopy zorganizowanej rozpusty wielotysięczny tłum, składający jej w dani ciężko zapracowane pieniądze. Arystokracja w sezonie wścigowym doznaje wrażenia, że panuje nad społeczeństwem moralnie, dając mu naukę pogładową, jak miło można istnieć pod rządem rosyjskim, gdy pierzchną «przesady narodowe». Ale nie tylko przesady narodowe idą w kął na wścigach. Warszawa na wścigach dopiero dowiedziała się, że do przesądów należy przedział, istniejący między kurtyzanami i kokotami ulicznymi a kobietą z towarzystwa. Tutaj panuje zupełna harmonia między kobietami strojnie odzianymi; rzecz można, że konie istnieją tu tylko dla garstki znawców, ogół zaś mężczyzn urządza popis kobiet, przez siebie utrzymywa-

nych, budząc zawiść i chęć emulacyi w swoich kolach towarzyskich.

Całe zaś towarzystwo polskie poprzetykane jest, jak kwieciami, mundurami oficerskimi. Kobiety z towarzystwa wdzięczą się do oficerów, panowie odsprzedają im przez grzeczność najlepsze konie i dbają o to, aby ilość nagród rozdzielana była równo między Rosyan i Polaków.

Do czego zaś dochodzi hazard na totalizatorze, dowodzi ogłoszone niedawno sprawozdanie wyścigów jesiennych z r. 1901, z którego się okazało, że w ciągu czternastu dni wyścigowych, obroty totalizatora dosięgły sumy 1,750.000 rubli, co na walutę austryacką wynosi 4,375.000 koron. Cały dochód Tow. wyścigów z biletów wejścia i zapomogi rządowej wyniósł zaledwie 15.000 rubli, z odsetków zaś od totalizatora osiągnęło ono zysku w jesieni 175.000 rubli. Z tego więc widzimy, że arystokracja całą tę zabawkę swoją w konie, w Moskali i kokoty urządza nie swoim kosztem, lecz na koszt ludności. Ta jedyna sposobność obcowania z arystokracją zbyt wiele nas kosztuje.

Miliony te, wyrwane jednym z kieszeni, drudzy puszczejają oczywiście odrazu na hulanki. «Male parta idzie do czarta»; to też w sezonie wyścigowym w mieście wzrasta niesłychanie pijaństwo i rozpusta, jednocześnie z gwałtownem zubożeniem znacznej części ludności.

W roku 1901 sfery arystokratyczne wpadły na nowy pomysł uszlachetnienia Warszawy, mianowicie urządziły w cyrku, przy pomocy sił fachowych Cinisellogo, przedstawienie amatorskie cyrkowe, w którym wzięli udział przedstawiciele najstarszych rodów szlacheckich bądź w roli kłownów, bądź konnojeźdźców...

Takie objawy życia towarzyskiego przez rząd nie są krępowane...

VII. Cenzura.

Swoboda druku jako warunek niezbędny życia cywilizowanego. — Kontrola drukarni. — Cenzura policyjna. — Komitet cenzury jako ognisko piśmiennictwa. — O czym pisać nie wolno, — Zależność osobista od cenzury. — Stosunki zagraniczne.

Wypada z kolei przypatrzeć się stosunkom społecznym, opartym na zastosowywaniu druku do wymiany myśli. Niema takiej dziedziny życia społecznego, towarzyskiego i umysłowego, w którejby jednostka współczesna obejść się mogła bez drukowanego słowa. Dzisiaj bez druku niepodobna w świecie cywilizowanym postąpić kroku i pod tym względem druk w stosunkach nowoczesnych jest czynnikiem tak niezbędnym, jak w wytwórczości materialnej żelazo, bez którego pomocy nie powstanie żadne dzieło rąk ludzkich.

Zanim się osądzi znaczenie cenzury, z jaką ma do czynienia Warszawa, trzeba sobie jasno przedstawić to, nad czem za granicami Rosyi

przestano się już zastanawiać, mianowicie, że bez swobody druku nie można istnieć. Europejczyk, spotykający się na każdym kroku z drukiem, bądź na ścianach domów, bądź na pudełku od zapalek, w cennikach, w afiszach, w dziennikach, wreszcie w książkach, sypiących się na niego, jak biały kwiat z bujnego drzewa cywilizacyi, nie zrozumie, że jest kraj, gdzie po ten kwiat sięgać trzeba drżącą ręką, gdzie jakaś siła nieprzyjazna każdą myśl wolniejszą wtłacza w gardło niewypowiedzianą, nie mogącą przybrać kształtów słowa.

W całej Rosyi panuje zabobonny strach wobec liter drukowanych, poczytywanych za najniebezpieczniejszy środek porozumiewania się między ludźmi, którzy w państwie despotycznym porozumiewać się nie powinni. Strach ten oczywiście potężnieje, gdy chodzi o druk polski; strach ten daje natchnienie rządowi, narzucającemu nam swoje przepisy policyjne. I oto stoimy dziś wobec faktu, że niema sposobu wyrażenia w druku jednego wyrazu polskiego bez uzyskania na to specjalnego pozwolenia cenzury.

Przypatrzmy się ustrojowi cenzury, tej maszyny rządowej, przez którą każda myśl nasza przejść musi w drodze między naszym piórem a drukarnią.

Nad drukarniami warszawskimi czuwa osobna inspekcya, zorganizowana przy zarządzie

gubernialnym. Uzyskanie pozwolenia na założenie drukarni jest rzeczą nader trudną, a wprost niepodobną dla człowieka cokolwiek politycznie «niepewnego». Obstalunki drukarni podlegają rewizyi według urzędowych ksiąg, w które są wpisywane, do drukarni zaś nie może być przyjęty żaden rękopis nie podpisany przez cenzurę; po wydrukowaniu, drukarz nie może wypuścić żadnej roboty, nie posławszy wprzód 10 egzemplarzy do tej cenzury i nie uzyskawszy na wypuszczenie pozwolenia na piśmie z pieczęcią i podpisami.

Jeżeli się zważy, że Warszawa jest miastem wielkiem i ze względu na stanowisko cywilizacyjne druk należy w niej do potrzeb codziennych, jak w każdym innem mieście europejskiem, to mimowoli rodzi się pytanie, jak policya drukarska radzi sobie z tak rozległym i skomplikowanym zadaniem. Istotnie potrzeba bogatej organizacyi na uchwycenie w ręce całej produkcji drukarskiej, ale rząd rosyjski ma wiele czasu i sił, poświęcając się wyłącznie pracy policyjnej.

Podział pracy cenzuralnej jest w Warszawie następujący. Wszystkie druki uliczne i handlowe przechodzą przez cenzurę policyjną, zorganizowaną w biurze policmajstra, druki zaś, mające charakter literacki, należą do komitetu cenzury, zależnego od głównego Wydziału prasy przy ministerjum spraw wewnętrznych w Pe-

tersburgu; poza tem istnieje cenzura fachowa, więc np. ogłoszenia lekarskie i aptekarskie przechodzą przez miejski Wydział lekarski.

Cenzura policyjna ma zadanie podwójne. Baczyc musi, aby żaden szyld, afisz lub anons nie zawierał dwuznacznego słówka, nieprzyjemnego rządowi; z drugiej strony pilnuje, aby każdy druk zawierał równorzędnie z tekstem polskim (niemieckim, żydowskim itp.), dosłowny przekład rosyjski i aby ten przekład był poprawny, a ułożony po drukarsku tak, jak tekst pierwotny. Gdyby np. drukarz dał w tekście rosyjskim czcionki mniejsze, choćby w jednym wyrazie, gdyby tekst rosyjski umieścił z lewej strony, a nie z prawej, to cały nakład byłby wzbromiony. Jest to dalsze rozwinięcie zasady szyldów, o których wspominaliśmy przy opisie Warszawy. Dokładność leksykograficzna według przepisów policyjnych sięga tak daleko, że w sklepie nie wolno umieścić kartki tymczasowej z nazwą towaru lub zaznaczeniem ceny w języku polskim. Od czasu do czasu policmajster wydaje drukowany rozkaz do policyi, w którym ogłasza zauważone na mieście lub w sklepach niedokładności tego rodzaju. Spisy te zawierają spostrzeżenia niesłychanie bystre, np.: «W mleczarni N., na ulicy N. na ścianie wisi kartka z napisem polskim *ś w i e ż a ś m i e t a n a*. Rozkazuje się itd.» Niewolno zostawić bez tłumaczenia

czenia imienia i nazwiska na szyldzie, łacińskie bowiem litery są polskimi w oczach policyi; wyjątek policya robi dla firm, zredagowanych po francusku, stąd przeto coraz więcej mamy na ścianach szyldów w rodzaju: *Sans-souci*, *Versailles*, *Au printemps* itp. W dalszej konsekwencji policya pilnuje, aby znaki na towarach, nazwy firm fabrycznych na opakowaniu, reklamy na pudełkach, oczywiście wszystkie rozklejane anonse, afisze teatralne itp. drukowane były w dwóch językach. Wszystkie te milionowe druczki muszą być wprzód studyowane przez biuro policyjne. Nie każdemu wiadomo zapewne, że sprawozdania i statuty stowarzyszeń ogłaszane mogą być drukiem tylko w dwóch językach, z tekstem rosyjskim *au regard*.

Łatwo wyciągnąć stąd wniosek, jak kosztowne w Warszawie są roboty drukarskie, wszystko bowiem przybiera wskutek owych tłumaczeń podwójne rozmiary. Co zaś do formalności każdy sobie w duszy dośpiewa, jak na nich wychodzi pośpiech handlowy, tamowany na każdym kroku w drobnostkach niesłychanemi szykanami.

Komitet cenzury, przez który przepływa w rękopisach wytwórczość piśmiennicza Warszawy i bez mała całego Królestwa Polskiego, mieści się na ulicy Miodowej, obok pałacu arcybiskupiego, w kilku niezmiernie brudnych i ubogich izbach. Nora ta stanowi otchłań dla myśli

polskiej, mającej przybrać postać skrzydlatego słowa, na kraj puszczanego; tutaj więzną, jak mówił Słowacki, pioruny miotane przez pisarzy, tutaj jest sito, przesiewające na użytek czytelników lżejsze ziarna i miał piśmienniczy.

Komitet cenzury składa się z prezesa, paru «starszych» i kilku «młodszych» cenzorów, ogółem zaledwie z jakiego tuzina osób. Każdy rękopis, złożony przez autora lub wydawcę sekretarzowi, na najbliższem posiedzeniu Komitetu dostaje się w ręce jednego z cenzorów, który w ciągu trzech miesięcy ma obowiązek go przejrzeć i zaznaczyć w nim zmiany, albo zaopiniować konfiskatę. Dodać należy, że na każdym rękopisie, choćby to był świstek, naklejona być musi marka stemplowa wartości około guldena, rękopis zaś ma być przepisany kaligraficznie, bez najmniejszych poprawek. Dzienniki i wogóle czasopisma, oraz za osobnem pozwoleniem niektóre wydawnictwa, jak słowniki, encyklopedye itp., składane są cenzurze w odbitkach korektorskich.

Łatwo sobie wyobrazić, ile pracy ma ta garstka cenzorów, od dawna nie powiększana, wobec stale wzrastającej produkcyi dziennikarskiej i literackiej. Każdy z nich ma do studyowania po parę dzienników, nieraz po kilka tygodników, a prócz tego stosy zalegających kalendarzy, modlitewników, dzieł naukowych i t. p. To też

kancelarya Komitetu obłożona jest stale przez zastępy chłopców drukarskich, redaktorów i wydawców, przychodzących z żebraniną, pragnących ułatwić przedostanie się rękopisu przez ową tamę, zagradzającą szerokie łóżysko wydawnicze.

Tyle dla wyjaśnienia organizacyi. Aby zaś dać pojęcie o wewnętrznej działalności cenzury bez dotykania osób i ich kaprysów, wymienię główne, przestrzegane przez cenzurę zasady. Wykreśla ona czerwonym atramentem całe dzieła, artykuły, ustępy, lub wyrazy, które według ustawy lub przepisów tymczasowych mają być zakazane, mianowicie: 1) wszystko, co sprzeciwia się czci cara, jego rodziny, ustroju państwa, ministrów i t. p., 2) wszystko, co jest krytyką jakichkolwiek zarządzeń ogólnopństwowych, lub władz miejscowych; 3) wszystko, co w ujemnem świetle przedstawićby mogło Kościół prawosławny, naród rosyjski, politykę zewnętrzną rządu, politykę jego wewnątrz, oraz stosunki społeczne, ekonomiczne i obyczajowe Rosyi; 4) wszystko, co mogłoby świadczyć o dążnościach separatystycznych prowincyi polskich, a więc przemawianie od narodu polskiego (sam wyraz naród jest nietolerowany), przeciwstawianie Królestwa Polskiego lub Litwy, jako pojęć geograficznych, Cesarstwu Rosyjskiemu (można od biedy pisać: «gubernie Król. Polsk. i gu-

bernie wewnętrzne Cesarstwa, Kraj północno-zachodni lub południowo-zachodni i gubernie wewnętrzne Cesarstwa, zawsze jako poddziałki jednolitego państwa); 5) porównywanie teraźniejszości polskiej z przeszłością, wspomnianie o łączności moralnej z innymi zaborami (nazwy: zabór, dzielnica itd. są zabronione), oczywiście zabronione są wszelkie «rojenia» polityczne o potrzebach i przyszłości narodu polskiego; 6) wykreślane jest wszystko, co może zaznajamiać z ruchem socjalistycznym lub jego teoryami (nazwa «socjalizm» jest wzbroniona), niewolno pisać o strajkach, położeniu ludu roboczego, o wszelkich zamachach i zaburzeniach w kraju i zagranicą, o dżumie, o cholercie, o nieurodzajach w Rosyi; 7) zabronione jest wszystko, co się sprzeciwia zasadom religii i obyczajności w szerokim zakresie; 8) wreszcie wszystko, co cenzor uzna za stosowne wykreślić.

Od wyroku cenzora apelować można do prezesa Komitetu, od niego do ministerjum spraw wewnętrznych, ale — o ile wiem — nie zdarzyło się jeszcze nikomu odzyskać drogą urzędową tego co cenzor wykreślił, tak solidarnie hierarchia cenzury się trzyma, choćby dla samego uproszczenia sobie roboty. Jedyne w drodze prywatnych próśb i argumentów przy biurku cenzora można coś wskórać. Pomimo nabytej doświadczeniem ostrożności autorów i wydawców, nie

da się nigdy przewidzieć, co i za co będzie wykreślone przez cenzora, czy i kiedy zwrócony będzie rękopis, redakcyja zaś dziennika do ostatniej chwili nie jest pewna, czy wyda numer i jakiej treści. Cenzura jest panem absolutnym ruchu wydawniczego, władającym terrorystycznie nerwami literatów i losami wydawców.

Jeżeli się doda, że wydawcą lub redaktorem odpowiedzialnym w Warszawie może być tylko jednostka rzeczywiście sprawująca te funkcyje i mianowana jest na te stanowiska po długich staraniach za pozwoleniem żandarmeryi, a zwłaszcza Komitetu cenzury, jeżeli się zważy, że redaktorzy i wydawcy są *de facto* urzędnikami, mianowanymi przez cenzurę, zupełnie od niej zależnymi, to łatwo będzie zrozumieć, iż cenzura odgrywa rolę decydującą w sprawie rozwoju piśmiennictwa, ogniskującego się w Warszawie.

O położeniu tego piśmiennictwa w podobnych warunkach pomówimy w następnym rozdziale; tutaj, dla całości obrazu, dodam jedynie parę szczegółów o stosunkach literackich Warszawy z zagranicą.

Komitet cenzury prowadzi u siebie dokładny skorowidz alfabetyczny książek, przez siebie aprobowanych. Wszystkie dzieła, wydane za granicą, a wysłane do Królestwa, z komory celnej i z poczty nadchodzą do Komitetu, który je

odeczytuje i bądź zamazuje czarną farbą wyrazy i ustępy nie pożądane, bądź wycofuje książkę z obiegu. W skorowidzu Komitet zapisuje każdą taką książkę z adnotacją, czy jest dozwolona, lub na jakich stronicach i w jakich ustępach podlega zamazaniu (albo wycięciu kartek). Osoba więc prywatna lub wydawca, którym na komorze zafantowano książki i odesłano je do cenzury, zgłasza się po nie do Komitetu, a tam cenzor w ich oczach, mając przed sobą skorowidz, choćby to były książki już używane i oprawne, wydiera bez ceremonii kartki, lub odrzuca całe tomy. Przy tej operacyi krwawi się widzowi serce i wogóle zajęcia cenzorów rosyjskich mają w sobie tyle okrucieństwa, że niepodobna odgadnąć, jakie nieszczęsne okoliczności zmusić mogą ludzi inteligentnych do tego katorzowskiego zawodu.

Dzienniki zagraniczne po większej części, galicyjskie zaś i poznańskie w ogólności, mają zabroniony wstęp do Rosyi. Pism polskich zakordonowych nie przyjmuje zgoła poczta rosyjska, zaledwie kilka egzemplarzy każdego dziennika dostaje się w drodze specjalnego pozwolenia do redakcyi dzienników. I te egzemplarze poczta nadsyła redaktorom w zapieczętowanych kopertach, aby kogo po drodze nie zaraziły.

VIII. Nauka i literatura.

Warunki polskiej pracy naukowej w Warszawie. — Brak katedr, laboratoryów i bibliotek. — Uczeni warszawscy. — Powieściopisarze i poeci. — Twórczość polska wobec cenzury i prasy warszawskiej. — Cenzura jako czynnik artystyczny. — Konieczność wyzwolenia twórczości narodowej z więzów cenzury rosyjskiej.

O Warszawie dzisiejszej, jako ognisku nauki polskiej, nie można — niestety — mówić bez smutku. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Szkoła główna należą do wspomnień, dawni profesowie polscy z czasów tej szkoły wymarli lub zniedołężnieli; niema od lat dziesiątków zakładów naukowych ani pracowni, któreby ogniskować mogły polskie siły naukowe. Niema więc mowy o nauce warszawskiej, wszelki zaś ruch naukowy, jaki tu istnieje, jest dziełem kilku, a licząc hojnie, kilkunastu jednostek, wypadkiem w Warszawie mieszkających.

W dzisiejszym uniwersytecie warszawskim, oprócz paru emerytów, którym pozwolono jeszcze

wyklądać (Dydyński, Struve), niema już Polaków; do laboratoryów uniwersyteckich jednostki prywatne nie mają dostępu, albo mieć nie chcą, o ile ten dostęp trzeba okupić należeniem do rosyjskich stowarzyszeń naukowych. Poza uniwersytetem brak wszelkich instytucyi dla celów czysto naukowych, brak nawet bibliotek.

Rzecz nie do uwierzenia, jak dziwnie okoliczności pokierowały rozwojem cywilizacyjnym tego wielkiego miasta. Oprócz biblioteki uniwersyteckiej, bardzo niekompletnej, uzupełnianej tylko w miarę potrzeb istniejących katedr, oraz dwóch bibliotek prywatnych, należących do ordynacyi Krasińskich i Zamoyskich, a przydatnych jedynie dla historyków, niema nigdzie księgozbioru, zwłaszcza uzupełnianego rzeczami nowemi z ruchu naukowego zagranicznego. Zważyć przytem należy, że do dzieł naukowych, nadchodzących do Warszawy, cenzura stosuje sito tak gęste i bezwzględne, że całe dziedziny pracy naukowej za granicą, pozostają w Warszawie nieznane. Biblioteka uniwersytecka, zasłaniając się regulaminem cenzury, nie wydaje do przejrzania nawet ludziom naukowym niemal połowy dzieł z zakresu historii, literatury i nauk społecznych.

Jednem słowem, w Warszawie niema książek, jakaż więc może być poważna praca naukowa? Jednostka, pracująca naukowo, nabywa

książki sama, ale i w tem jest skrępowana obecnie, nie licząc cenzury, nowem prawem o ciele na polskie książki zagraniczne. Księgarnie, gdzie ogół zaznajamiał się z nowościami, wydawanemi w Galicyi, oczywiście cenzuralnemi, nie prowadzą już od pewnego czasu żadnej książki na swoje ryzyko, czekając na zamówienie kupującego, któryby cło z góry opłacił.

Wobec tego, co się wyżej rzekło, niema teraz w Warszawie warunków, sprzyjających rozwojowi nauki, jako za wodę dla pewnej garści ludzi. Nasi ludzie naukowci pracują przeważnie w instytucjach kredytowych, ubezpieczeń od ognia, w telegrafii itp. I tych jednostek, pracujących w rozsypce, coraz ubywa. Tradycyę nauki warszawskiej, głównie w dziedzinie historyi i językoznawstwa, dźwiga na sobie kilku posiwiiałych ludzi i nie widać w młodszym pokoleniu jednostek wybitniejszych, któreby ich zastąpić mogły, zwłaszcza, że każda lepsza siła znajduje, prędzej lub później, stanowisko naukowe w Galicyi lub za granicą. Na jakie stanowisko naukowe w Warszawie można liczyć, dowodzi los słynnego językoznawcy, członka Akademii krakowskiej, A. A. Kryńskiego, któremu rząd w drodze łaski dał posadę nauczyciela języka francuskiego (!) w gimnazyum.

Najruchliwsi pod względem wydawniczym lekarze pomnażają literaturę przeważnie prze-

kładami; badania historyczne, świetnie reprezentowane przez dwóch starych historyków, Korzona i A. Jabłonowskiego, oraz językoznawcze (słowniki polskie Karłowicza i Kryńskiego) rozwijają się na razie dzięki funduszom częściowo Akademii umiejętności, przeważnie zaś kosztem składek prywatnych lub ofiar osobistych samych autorów. O słabnięciu stopniowem ruchu naukowego świadczy działalność względnie zamożnej Kasy im. Mianowskiego (przeznaczonej jedynie dla osób, urodzonych w Królestwie Polskiem), która coraz mniej poważnych prac naukowych wydaje.

Inaczej być nie może. Jeśli warunki dzisiejsze się nie zmieniają, to za jakie lat 10, 20 i po tem ognisku śladu nie pozostanie.

Zważmy, że ten stan opłakany staje się widocznym tak rychło po okresie pozytywizmu warszawskiego, który wszystkie siły społeczeństwa pchnąć usiłował w kierunku pracy naukowej i technicznej. Zapewne przemysł techniczny, stosunki ekonomiczne i handlowe poprawiły się od tego czasu, w czem — co prawda — niewiele było zasługi pozytywistów; ale to jest ich niewątpliwą zasługą, że do wzmożonego przemysłu i handlu rzuciły się jednostki światlejsze, wyrzekając się aspiracyi naukowych.

Literatura nadobna, mniej uzależniona od istnienia urządzeń społecznych, przedstawia się

bogaciej. Warszawa szczyci się posiadaniem w swych murach: Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Sieroszewskiego, Sygietyńskiego, Daniłowskiego, Chońskiego itp. Są też i poeci, a między nimi nieczynni już: Deotyma, Faleński, Pług i czynni: Gliński, Or-Ot, Laskowski. Ci są najpoczytniejsi. Rzadziej piszą: Lange, Miriam, Niemojewski i paru młodszych.

Powieść reprezentowana jest najlepiej, może dzięki temu, że zdążyła wybujać w czasach realizmu, ograniczającego się ścisłym odtwarzaniem tego, co istnieje, bez dotykania tego, czego brak, a tutaj dopiero cenzura mogłaby postawić jej tamę. Gorzej się działo poezji, powołanej z natury rzeczy do wyrażania tęsknot i dążeń do ideału. Tego cenzura nigdy nie lubiła i dziś poczytuje poezję za najniebezpieczniejszy środek propagandy uczuć polskich. A że cenzura nie jest biegła w rzeczach symbolu, przenośni i tęsknot, a z drugiej strony pomna jest spustoszeń, dokonanych przez romantyzm, więc wykreśla wszystko, co jej się wydaje marzeniem, porywem lub smutkiem za rzeczami utraconymi.

Widzimy więc upadek poezji w Warszawie, ale czy przyszedł on wyłącznie za sprawą cenzury i nie ma przyczyn głębszych, o tem przekonamy się z *Chimery*, która, budując swój świat piękna zdala od motywów narodowych i społecznych, nie naraża się zbyt cenzurze.

Moderniści, o ile są obyczajni, mają zapewnioną swobodę w Warszawie, ale należy się obawiać, że im także zabraknie tchu w piersi. Każda dziedzina, każdy rodzaj twórczości domaga się pewnej atmosfery, właściwej środowiskom cywilizowanym w społeczeństwach swobodnych, żyjących wszystkimi władzami ducha. Warszawa — niestety — w miarę oddalania się w przeszłość dawnych tradycji, traci cechę takiego ogniska. Nad interesami umysłowymi biorą górę praktyczne zagadnienia ekonomiczne i życiowe, a ten ruch umysłowy, jaki jest, staje się coraz bardziej zależnym od wzrastających potrzeb dziennikarstwa miejscowego.

Śmiało rzec można, że $\frac{9}{10}$ twórczości literackiej Warszawy zawdzięczać należy zapotrzebowaniom prasy, a zaledwie jedna dziesiąta powstała ze szczerych natchnień poetyckich i dążeń artystycznych.

Mówiąc więc o literaturze warszawskiej, myśleć trzeba przede wszystkim o tej, pozostającej w usługach prasy. Wszędzie ten sam los spotkał twórczość poetycką i powieściową i darmo byłoby iść przeciw prądowi ducha czasu, wysuwającego interesy dziennikarstwa na plan pierwszy. Ale u nas sprawa staje się ważną pod tym względem, że jedynie Warszawa, mająca najbogatszą prasę, zdolna jest opłacać poetów i powieściopisarzy. Gdyby nie

to, nietylko nie byłoby w Warszawie ani jednego beletrysty, ale ci, co mieszkają za kordonem, woleliby utwory swoje drukować tam, gdzie niema cenzury. Z czegożby jednak żyli?

Więc nie to jest złe w literaturze polskiej, że zastosowała się do wymagań dziennikarstwa, lecz że poszła niemal całkowicie na zarobek do prasy warszawskiej. Przez to poddała się ona zupełnie pod komendę cenzury rosyjskiej; literaci nie piszą nic prawie, czego by nie można było sprzedać w Warszawie, a rezultat jest taki, że dzienniki galicyjskie i poznańskie, nie mając dla siebie utworów odpowiednich, zniewolone są karmić czytelników tylko tem, na co pozwoliła cenzura warszawska. W ten sposób cenzura rosyjska stała się policją całej twórczości polskiej we wszystkich zaborach.

W miarę wzrastania jednak nowych ideałów artystycznych i rozwoju prasy galicyjskiej, poezja nasza będzie się musiała przenosić z Warszawy za kordon, a Warszawa tylko służyć będzie za miejsce zbytu jedynie wyrobów rzemieślniczych i z natury rzeczy cenzuralnych. Tutaj zaznaczyć należy, że jeden z pierwszych przyprowadził do opamiętania naszych twórców Wyspiański, który, nie oglądając się na zarobki warszawskie, stworzył szereg dzieł nieokrojonych przez cenzurę rosyjską. Gdyby dłużej miała trwać ta wędrówka zarobkowa poetów

do Warszawy, ciągłość rozwoju naszej literatury byłaby uniemożliwiona.

Zbyt długo piszemy dla cenzury rosyjskiej; musiało to obniżyć ton naszej literatury. Tworzyć pod cenzurą można w czasie upadku piśmiennictwa, ale nie w czasach odrodzenia twórczości. Poetom naszym, drukującym swoje utwory w Warszawie, nieznane są już te stany ducha ich dziadów, romantyków, którzy mieli tyle do wypowiedzenia, że musieli emigrować.

Zmieniły się czasy; dawniejsi poeci są dziś powieściopisarzami; kto nie chce, musi pisać powieść, bo z poezyi się nie utrzyma. Dawny wolny śpiew romantyków stał się zawodem, który musi chleb dawać, a że sprzedać utwór dobrze można tylko w Warszawie, więc się pisze powieść cenzuralną.

Powieściopisarze nasi, jak rzekłem, ułatwiali sobie dotąd zadanie, opisując realistycznie szare życie, ci zaś, zrodzeni w dobie «pracy organicznej», nie mieli w sobie nawet tematów niecenzuralnych. Dawniej mieliśmy Kraszewskiego, Jeża, nawet Bałuckiego, którzy chronić się musieli z powieściami za kordonem; potem nastąpiły czasy powieści społecznej, która przy umiarkowanym traktowaniu zagadnień klasowych, była całkowicie cenzuralna. Prądy socjalistyczne pogłębiły może twórczość, ale nie wyrzekły się cenzury; zaczęto pisać wymyślniej, bardziej

kryjąc ścieg myśli, przez co niemało tracili czytelnicy.

Mówiąc nawiasem, ten kryty ścieg w warszawskiej robocie literackiej wzrósł w cenę w oczach krytyków, odkąd zauważono, że utwory pisane dla cenzury nabierają uroku rzeczy tajemniczych, niedopowiedzianych. Jest w tem nieco racyi, zwłaszcza w czasach ogólnego dążenia sztuki do powściągnięcia uczuciowości i traktowania przedmiotu sposobem suggestyjnym, tj. zmuszającym czytelnika do zapelniania obrazu, przez artystę tylko wypunktowanego. Po wszystkie jednak czasy zasada nie stawiania kropek nad «i» była artystom znana, a Mickiewicz nie grzeszył przeciwko niej, chociaż go cenzura na wodzy nie trzymała.

Mówię o tem dlatego, że od pewnego czasu istotnie dają się słyszeć zdania, jakoby cenzura była jednym z czynników, które pozwoliły sztuce warszawskiej wysunąć się naprzód. Jest to fałsz, poczęty z bezmyślności, podsunięty przez prasę rosyjską. «Metoda suggestyjna» tego rodzaju mogła mieć powodzenie, kiedy czytelnicy stanowili niewielkie kółko wśród inteligencji, znającej arkana myśli politycznej, ale zmieniły się pokolenia, przytem czytelnictwo się demokratyzowało i książek tak pisanych nie rozumie. Udoskonaliła się też cenzura, której przedstawiciele są dzisiaj najbystrzejszymi czy-

telnikami. Śmiało rzec można, że, jeśli pisarzowi warszawskiemu uda się ukryć myśl przed cenzorem, to jest ona wyrażona tak niejasno, że i polski czytelnik jej nie zrozumie, zwłaszcza za kordonem, gdzie przebiegi myśli pod uciskiem cenzury mało są znane.

Przysłano mi niedawno wycinek z *Przeglądu Powszechnego* (miesięcznik krakowski), w którym jeden z krytyków o świeżym utworze powieściowym, wydanym w Warszawie, pisze w sposób, dowodzący, że ani słowa z tej książki nie rozumiał. Jestto utwór doskonały, wiele obiecującego, świetnego talentu, krytyk zaś, jak widać, bez złej woli, radzi mu, aby rzucił pióro, skoro nie umie niem władać i nie wie, o co mu chodzi. Oto są skutki pisania powściągliwego dla uniknięcia kolizyi z cenzurą! Rebusu tego nie rozumiał cenzor, ale też nie pojął go i krytyk; cóż mówić o szerokich kołach czytelników!

Obowiązkiem narodowym jest pomyśleć co prędzej o popieraniu twórczości narodowej literackiej. Nie można spuszczać się na wydawców warszawskich. Bo, kiedy ta twórczość skieruje się w dawne łóżyisko literatury narodowej, Warszawa utworów takich drukować nie będzie, tak jak nie ma w niej miejsca na Wyspiańskiego. Na wzór nagród, wyznaczanych co jakiś czas przez Akademię za najlepsze obrazy, należałoby ufundować nagrody za najpiękniejsze utwory

poetyckie lub powieściowe, nie krępowane względami na cenzurę warszawską.

W zaborze rosyjskim książka polska znajduje znacznie więcej odbiorców, niż w obu innych zaborach razem. Ten czynnik handlowy należy równoważyć wysiłkiem narodowym za kordonem, bo nie tajno już dzisiaj nikomu, że literatura nasza, puszczona wyłącznie na handel, wpadła w potrzask cenzury.

Losy powieści i poezji dzielą wszystkie wydawnictwa, przeznaczone dla szerokich sfer czytelniczych. Szczególna dzieje się piśmiennictwu krzywda, gdy na cenzurę warszawską obliczane są dzieła kapitalne, które powinny mieć trwałe znaczenie na długi czas w całej Polsce. Do takich dzieł należą wydawane w Warszawie encyklopedye, «Słownik geograficzny» i inne. Wydawca galicyjski nie podejmie się takiego nakładu, bo nie zaryzykuje debitu w Królestwie; wydaje więc Warszawa, ale są to dzieła niecałkowite, poszczerbione piórem cenzora, nie mające przez to znaczenia pomników umysłowości, a pod względem pedagogicznym nieraz wadliwe.

Piśmiennictwo warszawskie pod względem narodowym jest zagrożone i bez uplanowanych celowo uzupełnień i korektyw za kordonem, sprowadzić może na bezdroża całą naszą umysłowość.

IX. Prasa.

Ilość czasopism i wartość ich. — Poczytność dzienników. — O czym się w nich pisze. — Bezsilność prasy. — Czytelnicy chronią od zbroceń. — Upadek publicystyki. — Niezdrowe stosunki.

Prasa warszawska ilościowo przedstawia się pokaźnie. Wychodzi tutaj dziesięć dzienników: *Kurier Warszawski*, *Kurier Codzienny*, *Kurier Poranny*, *Kurier Polski*, *Gazeta Polska*, *Słowo*, *Wiek*, *Gazeta Warszawska*, *Dziennik dla Wszystkich*, *Gazeta Handlowa*; kilka pism tygodniowych ilustrowanych: *Tygodnik Ilustrowany*, *Wędrowiec*, *Biesiada Literacka*, *Ziarno*; dwa ludowe: *Zorza* i *Gazeta Świąteczna*; trzy pisma dla kobiet: *Tygodnik mód i powieści*, *Bluszcz* i *Dobra Gospodyni*; trzy humorystyczne: *Kolce*, *Mucha* i *Kurier Świąteczny*; pięć tygodników literacko społecznych: *Prawda*, *Głos*, *Przegląd Tygodniowy*, *Rola*, *Niwa Polska*; dwa treści religijnej: *Przegląd Katolicki* i *Kronika Rodzinna*; miesięcznik: *Biblioteka Warszawska*.

To są czasopisma treści ogólnej. Daleko więcej istnieje pism z charakterem mniej lub więcej specjalnym, z których na pierwszym miejscu wymienić należy *Przegląd filozoficzny*, *Przegląd ekonomiczny*, *Wisłę* (etnografia), *Książkę* (bibliografia i krytyka), *Poradnik dla czytających książki*, *Wszechświat* (przyrodoznawstwo), *Przegląd pedagogiczny*, *Naokoło Świata* (podróże), *Przyjaciel dzieci*, *Wieczory rodzinne* (dla dzieci), *Gazetę Sądową*, ośm pism lekarskich i aptekarskich; *Gazetę Rzemieślniczą*, parę ogrodniczych, kilka rolniczych itp. Są to wszystko tygodniki, miesięczniki lub kwartalniki.

Wymieniam to wszystko dla okazania ilości czasopism; co się zaś tyczy ich wartości, nadmienić z góry trzeba, że wszystkie specjalne w stosunkach, panujących pod cenzurą, oczywiście są lepsze od ogólnych, niekiedy bardzo wartościowe; im ogólniejszą treść ma pismo, tem więcej daje pola robocie cenzury i przez to mniej ma wartości. Wszystkie te pisma specjalne świadczą wymownie o różnorodnych i nieraz bardzo wysokich potrzebach umysłowych społeczeństwa; większość ich wszakże, mianowicie mniej popularne, wiodą żywot suchotniczy, opędzając braki materyalne darowiznami osób zamożniejszych. Bo jest to rys charakterystyczny stosunków, że żadne z nich prawie nie ma wydawcy w postaci instytucji społecznej.

Mówiąc jednak o prasie warszawskiej, jako czynniku narodowo-społecznym, mam na myśli wydawnictwa treści ogólnej, zwłaszcza dzienniki, stanowiące pokarm codzienny ogółu czytelniczego. Przedewszystkiem jest to dowodem ich bezużyteczności w rzeczach publicznych, że jest ich tak mało względnie do olbrzymiej ilości odbiorców, jakaby mogły mieć w Królestwie i krajach zabranych, w porównaniu n. p. z małą Galicyą, gdzie dzienników jest znacznie więcej pomimo kilkakrotnie mniejszej ludności. Czasopisma specjalne rozchodzą się w znacznej ilości za kordonem i zasilane są często przez pracowników zakordonowych, nie dają też miary dokładnej ruchu umysłowego na miejscu; to samo dotyczy tygodników literackich, społecznych i ilustrowanych, które się rozchodzą po całej Polsce.

Jedynie dzienniki nie przekraczają kordonu, przeznaczone wyłącznie na potrzeby dnia bieżącego i z natury rzeczy umiejscowione. Otóż jest rzeczą mało pocieszającą, że 10 wymienionych powyżej dzienników liczy ogółem najwyżej 85.000 odbiorców, z których bez mała połowa przypada na Warszawę. Świadczy to, że prasa warszawska, ten jedyny czynnik życia publicznego, jaki nam pozostał, mogący kierować myślą zbiorową, sprawujący, jak się zwykle mówi, rządy moralne w społeczeństwie, na-

der słabo promieniuje ze swego ogniska na rozległe obszary kraju.

A trzeba sobie uprzytomnić, że w zaborze rosyjskim, po za prasą warszawską, niema nigdzie dzienników. W kilku miastach gubernialnych i w Łodzi wychodzą pisemka czysto lokalne, cała zaś Litwa, Wołyń, Ukraina i Podole pozbawione są możności założenia swego pisma; liczne kolonie polskie w cesarstwie lekturę polską sprowadzać muszą także z Warszawy, choćby dla uzupełnienia strawy duchowej, jaką im podaje *Kraj* petersburski (jedyne czasopismo polskie za obrębem Królestwa), a z tęsknoty za ojczyzną, której według *Kraju* — już nie odzyskamy.

Kiedy mowa o poczytności pism, dodać należy jeszcze rzecz ciekawą, że Polacy, zamieszkali w krajach zabranych i w Rosyi, sprowadzają z Warszawy dwa razy więcej czasopism, niż inteligencya, zamieszkała w Królestwie Polskiem. Zwłaszcza co do czasopism poważnych (naukowych i społecznych) dało się zauważyć, że w każdym większym mieście w cesarstwie, nawet na Kaukazie i Syberyi pisma te więcej mają odbiorców, niż w odpowiedniej wielkości miastach Królestwa Polskiego.

To, co pisałem w rozdziałach poprzednich o życiu publicznem w Warszawie, o ucisku policyjnym i o cenzurze, zwalnia mnie od obo-

wiązku bliższego przedstawiania przyczyn, dlatego dzienniki warszawskie budzą tak małe zainteresowanie. Stopniowo, w miarę ograniczeń życia publicznego w Polsce, traciły one na żywotności i doszły obecnie do poziomu suchych kronik wypadków zagranicznych lub miejscowych, zabarwianych sensacyjnymi opisami drobnych wydarzeń ulicznych i katastrof, spowodowanych siłą wyższą. Ratują się literaturą, okrojona przez cenzurę, a miano swoje organów politycznych usprawiedliwiają informacjami i artykułami z dziedziny polityki zagranicznej.

Oczywiście poza powieściami i kroniczką wydarzeń miejscowych, jest to wszystko jałowe, nie wiążące się z życiem, miałyby raczej charakter literacki, gdyby nie było nudne i nie literackie w formie. Czytelnik dzienników galicyjskich, lekceważący nieraz pisma swoje, nie wzięłby do ręki podobnie jałowego pisma lwowskiego. A Warszawa czytać je musi i słusznie przywiązuje do nich wielkie znaczenie, jako do ostatniej deski ratunku dla swoich źle zaspakajanych potrzeb życia publicznego.

Doszło do tego, że jedynie ciekawymi dla nas pod względem politycznym są w dziennikach warszawskich rubryki, poświęcone przeglądowi prasy rosyjskiej; stamtąd bowiem można się czasami dowiedzieć, co się stało w rządzie, lub jak społeczeństwo rosyjskie rząd na nas podszczuwa.

Ale i tutaj cenzura najdrażliwszych rzeczy nie puści.

Ustępując piędź po piędzi z praw, przysługujących organom życia publicznego, dzienniki warszawskie ograniczyły swoje pole wzrokowe sprawami miejskimi, teatralnymi, sportowymi, wreszcie etycznymi i gospodarczymi. Zdawałoby się, że w tym zakresie mogą pracować spokojnie i skutecznie. Gdzietam! Weźmy dla przykładu roboty gospodarcze w mieście, które prasa warszawska, w braku innego zajęcia, dozoruje, donosząc o każdym kawalku naprawionego chodnika. Nie może ona dotknąć gospodarki miejskiej krytycznie, bo cenzura ujmie się za prezydentem Bibikowem, lub policmajstrem Lichaczowem. Pomimo więc ciągłego zajmowania się prasy sprawami miejskimi, pozostają w tajemnicy przyczyny, dla których Warszawa nie posiada dotąd tramwajów elektrycznych, oświetlenia porządnego, mostów na Wiśle, bulwarów nad Wisłą, wiaduktów na liniach kolejowych w mieście, dlaczego podatki mieszkańców marnowane są bezlitośnie według konceptu nie kontrolowanych urzędników, dlaczego w szpitalach dzieją się nadużycia z funduszami publicznymi itp. I mieszkańcy i dziennikarze przyzwyczaili się do tego stanu rzeczy, który mógłby się zmienić przy jakim takim samorządzie miejskim, ale tego dotąd Warszawie posiadać nie sędzono.

Przytoczyliśmy to dla przykładu, aby pokazać bezsilność prasy wobec potrzeb życia publicznego. Im bardziej popularne jest pismo co do treści, im jest poczytniejsze, tem surowiej cenzura z niem się obchodzi; więc pod tym względem na jednym biegunie znajdują się miesięczniki i mało poczytne tygodniki postępowe, czytane przez szczupłe kółko inteligencyi, a na drugim — dzienniki, a zwłaszcza pisma ludowe. Rząd w obawie o czystość duszy chłopskiej poszedł za czasów Imeretyńskiego tak daleko, że założył własne pismo polskie dla ludu i rozpowszechnia je dotąd przez urzędy gminne, tygodnik zaś *Zorzę* zawiesił na jakiś czas, poczytując ją za niebezpieczną pomimo cenzury. Wobec tego pisma ludowe zeszyły do znaczenia poradników gospodarskich, a *Oświata*, wydawana przez rząd dla ludu, gdyby nie przeciwdziałanie tajnych organizacyj patryotycznych, dokonałaby wielkich spustoszeń wśród unaradawianego z takim trudem ludu.

Cała prasa zeszyła do roli informowania, wyrzekając się potrochu wszystkiego, co trąciło programem, dążnościami reformatorskimi, lub chęcią uzdrawiania opinii. Najwyraźniejsze do niedawna w zasadach i dążeniach t. zw. pisma postępowe bądź pod działaniem ducha czasu, bądź pod naciskiem cenzury wykolejone, zbite

z tropu, dalekie od programowej roboty społecznej, wytwarzają czytanki dla inteligencji.

Całe zadanie względem społeczeństwa dzisiejszej prasy warszawskiej polegać musi na podtrzymywaniu i wyrabianiu w nowych pokoleniach i sferach czytelnicznych kultury umysłowej i obyczajowej, chroniącej społeczeństwo, częściowo przynajmniej, od zdziczenia w tak niedogodnych dla rozwoju cywilizacji warunkach. W tym zakresie ma ona jeszcze dużo do spełnienia, trzymając się choćby programu negatywnego, polegającego na niebałamuceniu ducha narodowego podsuwanemi jej przez cenzurę i ugodowców teoryjami abnegacji narodowej.

Dziennik warszawski nie może robić polityki w duchu narodowym, ale wszelkie odstępstwa w dziedzinę polityki na korzyść Rosyi chętnie przez cenzurę są popierane; dziennik nie może wyrabiać ideałów narodowych, ale mógłby je burzyć, osiągając przez to pewne przywileje w swobodnem traktowaniu spraw podrzędniejszych. Na tę drogę wszedł *Kraj*, okupując w ten sposób możliwość istnienia w Petersburgu i pewną swobodę słowa. Ale *Kraj* zawdzięcza swoje istnienie poparciu zrusyfikowanych kolonii polskich w Rosyi i — niestety — pewnej części inteligencji w krajach zabranych. Za nim poszedł nowy ugodowy dziennik warszawski *Kuryer Polski*, który zyskał sobie w tychże sferach pe-

wną poczytność, głównie jednak dla swej taniości.

Królestwo Polskie nie pozwala dziennikom warszawskim iść śladem tamtych pism. Ugodowe *Słowo* słabo jest rozpowszechnione i grozi mu upadek. Że inne pisma wystrzegają się wyraźnie hasel ugodowości, jest to zasługą czytelników i rozumiejących swój interes kupiecki wydawców. Dziennikarze warszawscy, przykro to powiedzieć, nie utrzymaliby prasy na tej jedynie uczciwej drodze wstrzymywania się od polityki, gdyby nie wyczuwany nastrój czytelników.

Co się tyczy świata dziennikarskiego, to nie trzeba dłuższych wywodów na usprawiedliwienie jego oplakanego stanu obecnego. Prasa tak duża odsunięta od wszelkich robót narodowych i politycznych, przypomina stan aparatów motorowych, nie połączonych transmisyami z wielkimi kołami, któreby mogły w ruch puścić całą fabrykę. Nic dziwnego, że ambicya nie popycha umysłów świątlejszych w tych warunkach do zawodu dziennikarskiego. To też dziennikarstwo warszawskie coraz jest uboższe w siły publicystyczne, a w miarę wyzbywania się publicystów dawnych, z rozleglejszą wiedzą, darmo ogląda się za nowymi. W braku sił miejscowych, chętnie wzmacnia swe szeregi dziennikarzami galicyjskimi i poznańskimi, szukającymi tutaj

zarobku, przyczem poznańscy okazują się daleko użyteczniejszymi.

Stan ogólny publicystyki warszawskiej jest taki, że poza paru jednostkami (w *Gazecie Polskiej* i *Kuryerze Codziennym*), niepodobna znaleźć dziennikarza, któryby w sprawie krajowej donioślejszego znaczenia miał coś do powiedzenia. Niewątpliwie, w razie potrzeby, znalazłoby się w społeczeństwie wielu politycznie wyrobionych, którzyby w prasie głos zabrali, ale na razie prasa pozostawiona być musi dziennikarzom, jakich znosi aparat cenzuralny.

Cenzura wytworzyła w warszawskim świecie dziennikarskim bardzo smutne stosunki moralne. Większość wydawnictw należy do kategorii przedsiębiorstw handlowych; nie ożywiona żadną ideą szerszą, cały swój spryt wysiła na to, by jako tako pogodzić interesy czytelników z wymaganiami cenzury. A że wydawcy zależą przedewszystkiem od cenzury, bo jej niełaska zgubić ich może materyalnie w razie zamknięcia pisma, lub ograniczenia programu wydawniczego, więc główną ich dążnością jest utrzymać z cenzurą jak najlepszy stosunek.

Te zabiegi wydawców, a za nimi i redakcyi, o łaski cenzury prowadzą nieraz bardzo daleko. Cenzura zespala się ze światem dziennikarskim coraz ściślejszymi węzłami towarzyskimi; redaktorzy i wydawcy w uprzedzaniu kaprysów

cenzury prześcigają ją samą; cenzorzy stają się w rzeczywistości redaktorami, redaktorzy cenzorami. Dzieją się rzeczy, o których przykro pisać Polakowi, aby nie malować biednej Warszawy w zbyt ciemnych barwach.

Stosunki tego rodzaju, świadczące o zdeprawowaniu pewnych sfer, dadzą się uleczyć przy staraniu uczciwych przedstawicieli korporacyi; cała zaś nadzieja, że korupcyja, szerzona przez cenzurę, nie pociągnie za sobą zgubnych dla ogółu skutków, polega na czulej w swoich instynktach publiczności czytającej, która zawsze w porę nauczy wydawców rozsądku.

Oby te instynkty chroniły społeczeństwo jak najdłużej od grożącego mu zewsząd wynarodowienia!

X. Świat artystyczny.

Czy Warszawa może być ogniskiem sztuki? — Wypiański i Przybylski. — Kultura krakowska i warszawska. — Polityka teatralna. — Scena ludowa. — Muzykalność Warszawy. — Hotel muzyczny. — Malarstwo i rzeźba. — Przyszłość sztuki w Warszawie.

Logicznie rzecz biorąc, należałoby przypuszczać, że tam, gdzie życie duchowe ze wszystkich stron niemal, oprócz artystycznej, jest ograniczone, istnieje doskonała sposobność wytworzenia ogniska sztuki. Na powieści i poezyi, jak widzieliśmy, logika ta zawiodła nas, ale — powiecie na to — są inne gałęzie sztuki, które mogłyby się rozwijać nawet w tak ciasnych szrankach, w jakich rząd pozwala obywatelom wyrażać swe myśli i uczucia. Istnieje teatr, a w nim opera, dramat, komedia, farsa, wreszcie balet; dla muzyki mamy swoje przybytki w Towarzystwie Muzycznym, w Filharmonii, nie licząc Opery, Lutni itp.; pozostaje swobodne

pole twórczości w dziedzinie malarstwa i rzeźby i w tej dziedzinie Warszawa posiada możność ogniskowania się w zatwierdzonych przez władzę instytucjach, jak Tow. Zachęty Sztuk pięknych w Król. Polsk., Tow. Artystyczne, nie licząc «salonów» prywatnych (Krywulta, «Salon artystyczny»), prywatnych szkół malarskich itd.

Nieraz słyszeć można w Warszawie nawoływania pod adresem artystów i mecenasów sztuki, czynione z tego punktu widzenia. «Pomyślcie — powiadają do nich — co powie o nas historia. Nie rządziliśmy krajem, nie posłowaliśmy do parlamentu, ani do sejmu, obce nam były wszelkie troski i trudy życia publicznego; mieliśmy więc dużo sil i czasu na zajęcie się sztuką. I cóż robimy w tej dziedzinie? W żadnej gałęzi nie wytworzyliśmy kultury swojej, nie prześcignęliśmy talentami, oryginalnością, ani rozmiarami twórczości Krakowa, który jest i biedny i tylu różnorodnemi zajęciami praktycznemi pochłonięty».

Niestety, nawoływania takie oparte są na zawodnej w sprawach życia zbiorowego logice. Dusza zbiorowa, okaleczona w jednej dziedzinie, nie może być naogół twórczą w innych; wszelka twórczość wymaga zdrowia duchowego i jest kwiatem życia, uczuwającego się w swej pełni.

Istotnie, jak w poezyi, tak i w malarstwie, rzeźbie, architekturze Warszawa daje się prze-

ścigać Krakowowi. W muzyce i w teatrze porównanie wymaga miary bardziej skomplikowanej i bliższej znajomości rzeczy. Jeżeli chodzi o zeknięcie tych sztuk z publicznością, to oczywiście Warszawa posiada więcej środków materialnych i może z łatwością w kierunku wykonawczym wszystkie inne miasta polskie zakasować; posiada względnie bogaty teatr rządowy o trzech scenach, a w nim stałą operę, stać ją na utrzymanie Filharmonii itp. Ale pod względem twórczości samej Warszawa w tych gałęziach celować nie może.

Podczas gdy w Galicyi powstają utwory Wyspiańskiego, Kisielewskiego, Rydla, Zapolskiej i innych, Warszawa wykazać się może przez ten czas jedynie płodami p. Przybylskiego. Gdy w Krakowie weszło, jak słońce, «Wesele» Wyspiańskiego, teatr warszawski oczywiście nie wystawił go, cenzura nie dała książce debitu; wszakże poeci zapoznali się z tym utworem za bytnością w Krakowie i jeden z nich, bardzo popularny i utalentowany, K. Laskowski, stworzył pod wpływem «Wesela» — «Pogrzeb», utwór pełen księżycowego, pożyczonego od «Wesela» blasku. Otóż jest rzeczą charakterystyczną, że autorowi nie udało się wystawić swego utworu w teatrze miejscowym; w całości mógł go ujrzeć dopiero we Lwowie i w Krakowie.

W takich warunkach, rzecz prosta, twórczość

rozwijać się nie może i ustępować musi pola fabrykatom scenicznym miejscowym i zagranicznym.

Sława teatru warszawskiego od dawna jest ustalona. Mógłby to być istotnie teatr jeden z najlepszych w Europie, gdyby zostawał pod kierunkiem odpowiedniego zarządu. Myślmy o zarządzie, któryby przede wszystkim miał ambicję postawienia sztuki polskiej na odpowiednim poziomie, a następnie któryby z jednej strony znał się na sztuce, a z drugiej świadom był potrzeb umysłowych i upodobań publiczności. Tymczasem na czele teatrów warszawskich stoi zwykle jakiś generał rosyjski, którego sztuka polska nic nie obchodzi, któryby owszem pragnął ją dobić; cała zaś myśl jego zwrócona jest ku temu, w jaki sposób najkrótszą drogą dojść do tego, aby nad publicznością warszawską przestały panować ideały sztuki polskiej, w jaki sposób teatr wydobyć z pod wpływu publiczności polskiej bez ruiny materialnej dla teatru.

Stanowisko prezesa teatrów warszawskich jest, jak widzimy, naprzód polityczne. Od szeregu lat dokonywane są próby nad publicznością. Do dramatu i komedyi nie dało się przeszczepić repertuaru rosyjskiego, nawet w przekładzie; cała więc myśl dyrekcji skierowała się ku operze i baletowi. Wprowadzono parę oper rosyjskich we włoskim przekładzie i wogóle po-

stanowiono operze odebrać charakter polski, wprowadzając do niej język włoski i śpiewaków cudzoziemców.

Na dramat i komedję dyrekcyja machnęła ręką. Artyści byli zawsze i są doskonali, ale dobór ten odbywa się bez żadnego planu; każdy artysta polski chętnie tu osiadzie dla ustalenia karyery, więc dobrać ich sobie łatwo. Reżyser jednak wzięty jest na tortury dwóch sprzecznych dążeń dyrekcyi: teatr ma dawać dochód, a z drugiej strony nie powinien dogadzać publiczności polskiej. Reżyserowi dramatu i komedyi dyrekcyja odmawia pomocy materyalnej przy wystawianiu sztuk, płacze mu repertuar; artyści, pozbawieni kierunku i zachęty, grywają bez zapalu; publiczność przestaje się teatrem interesować i mimowoli nad dramatem i komedją dominować zaczyna operetka i farsa. Cel osiągnięty.

Reżyser tej operetki, p. Śliwiński, robi wszystko, aby dramat i komedję zakasować, dyrekcyja bierze go za swoje narzędzie w sprawie przetrwania smaku publiczności i wreszcie robi go głównym kierownikiem obu zjednoczonych scen, dramatu i operetki. Dostyc jest powiedzieć, że na czele teatrów warszawskich stoi p. Śliwiński, t. j. wyobraziciel tego wszystkiego, co w teatrze jest płocnością i kankanem, aby zrozumieć, do czego dochodzi scena polska pod opieką rządu rosyjskiego.

Rząd rosyjski rozdrażniony jest swoją dwuznaczną rolą opiekuna sztuki polskiej w teatrze, ale trwa w niej siłą tradycyjnej polityki z czasów, kiedy z Polakami robiło się ceremonie, kiedy sobie powiedziano, że trzeba Polaków bawić, aby nie rozmyślali. Ale w tej polityce rząd nigdy nie zaniedbał łączyć *utile dulci*; w tej «zabawie» przeprowadza konsekwentnie plan rujnowania kultury własnymi rękami Polaków i szczepienia zarodków kultury nowej z pnia rosyjskiego.

Z teatrem, przeznaczonym dla inteligencji, idzie dość trudno. Aktorzy i publiczność są zbyt karni i solidarni; teatry rządowe, pomimo braku prywatnych, stoją coraz częściej pustką; finanse ich są oplakane, dyrekcyja skarży się na długi zaciągnięte i coraz częściej przebija z tych utyskiwań chęć rządu zniesienia dramatu i komedyi.

Jakie są zaś intencye rządu w polityce teatralnej, dowodzi najlepiej założony przez Kuratorium trzeźwości Teatr Ludowy, pozostający pod kierunkiem znanego literata, Maryana Gwalewicza. Kierownik ten, wraz z pewnym odłamem inteligencji, wierzył w dobroduszną zamiarów rządu, pragnącego jakoby dostarczać ludowi szlachetnej rozrywki, i zapowiedział publicznie, że gdyby te zamiary okazały się nieszczerymi, a uwidoczniła się w tea-

trze myśl rusyfikacyjna, to społeczeństwo ostrzeżone będzie o tem przez głośne ustąpienie jego ze stanowiska. P. Gawalewicz przed kilku miesiącami ustąpił, jak się zdawało; urządzono mu na scenie owacyjne pożegnanie. Ale — niestety — zrobił to tylko dla ratowania pozorów, bo po cichu wstąpił napowrót i jest dotąd kierownikiem.

W teatrze tym, przeznaczonym dla publiczności polskiej, grywają artyści polscy i reżyserem jest Polak, a jednak dochodzą stamtąd przerażające wieści. Teatr poddał się ogólnemu kierunkowi Kuratoryum, jako instytucyi rusyfikacyjnej i nie robiącej sobie z ludem ceremonii przy wykonywaniu swoich planów. Od pewnego czasu w sztukach polskich statyści na scenie i tancerze, zamiast ludowych strojów polskich, otrzymali kostyумы wielkorosyjskie, tańczą, zamiast krakowiaków, rosyjskie tańce narodowe, na scenie słyhać coraz częściej okrzyki rosyjskie i t. p. W ten sposób lud warszawski przyzwyczaić się ma do obyczajów wschodnich i uznać się ma z czasem za lud rosyjski. Prasa warszawska w pewnym odłamie i *Kraj* petersburski, dzięki stosunkom p. Gawalewicza, poświęcają teatrowi wiele uwagi, przyganiając publiczności obojętność względem niego.

O muzyce i muzykalności Warszawy da się też niejedno powiedzieć. Zdawałoby się na pozór,

że w tej dziedzinie sztuka kwitnąć może bez przeszkody, ale tak nie jest.

Opera zbankrutowała finansowo. Tow. Muzyczne robi bokami; na przedstawieniach i koncertach bywa najczęściej pusto; jedynie występy słynnych wirtuozów zagranicznych dają bajeczne dochody. Dla nich to raczej, nie dla potrzeb artystycznych niemuzykalnej w gruncie Warszawy, powstała Filharmonia.

Warszawa jest punktem przeładunkowym dla grajków i śpiewaków wędrownych na trakcie między Europą a Rosyą. Każdy z nich, jadąc do Rosji na żer, zatrzymuje się tutaj, aby położyć u nóg swoich publiczność warszawską, kierowaną przez znudzone kobiety, czekające z rozwartymi ramionami na nowe wrażenia.

Artyści swojsey stoją skromnie na boku i czekają napróżno swej kolei. Ten i ów wreszcie, stuknąwszy się palcem w czoło, jedzie do Berlina lub Paryża i dopiero, zdobywszy tam sławę, wraca po tryumfy do Warszawy... Przepraszam, taki najczęściej nie wraca już do Warszawy. «Wojażuje» po świecie, a Warszawa za nim tęskni — za «nieznajomym-dalekim».

Któż widział trakt bez zajazdu, a zajazd bez miszureasa? Odkąd podróżowanie artystów do Rosji stało się koniecznością przemysłnej Europy, w Warszawie otworzyło się pole dla sprytnego przedsiębiorcy. Artysta zagraniczny dotychczas,

przybywszy do Warszawy, szukał przy pomocy impresaryja sali, gdzieby mógł zagrać lub zaśpiewać, tak jak podróżny szuka przez faktora noclegu. Nie było w tem ani wygody, ani wdzięku, ani pompy, owszem wstyd przed obcymi, omal nie hańba. Trzeba stworzyć hotel artystyczny — «Filharmonię»! Na pomysł ten wpadł jeden z owych usłużnych, którzy dotąd ułatwiali przejezdnym noclegi.

Nie znał się na muzyce, nie odróżniał, jak powiedział ktoś dowcipny, klucza wiolinowego od klucza do komody, nie miał kapitałów, ale posiadał spryt. W Warszawie mieszka wielu ludzi bogatych, bawiących się sztuką. Tacy ludzie biednym pieniędzy nie rozdają, bo im żal (pieniędzy), na potrzeby narodowe nie dadzą, bo się boją; ale jest do nich furtka przez sztukę. Sztuka, a zwłaszcza muzyka, bez względu na to, czy się ma potrzeby estetyczne, czy nie, nobilituje człowieka, a w dzisiejszych czasach ciągłych podejrzeń jest neutralnym i najbezpieczniejszym gruntem obcowania towarzyskiego, obcowania bez złych konsekwencyj. Owszem, daje dobrą markę człowiekowi, jako takiemu, który nie czuje rzeczywistości i nie troska się o nią; a z drugiej strony zaspakaja sumienie obywatelskie, bo nic tak nie uszlachetnia, nie łagodzi wzburzonych namiętności w czasach ustawicznych waśni społecznych, jak sztuka,

zwłaszcza muzyka. Powiedział to sam Mikołaj Wtóry w Skierniewicach.

Dramat już nie tyle, nawet dramat muzyczny. W dramacie jest pierwiastek myślowy, za którego czystość ręczyć nigdy nie można, nawet przy cenzurze rządowej. W dramacie muzycznym bywa również rzecz nieco drażliwa — język. Operę w Warszawie możnaby popierać od biedy, gdyby była włoska; nie wzbudzałoby to podejrzeń, że słuchaczom chodzi o język krajowy, tubyleczy. Osoby z arystokracji starały się wszelkimi siłami utrzymać język włoski w operze, wpływano na śpiewaczki (ze śpiewającymi po włosku można się przyjaźnić), aby nie uczyły się ról polskich. bo popsują sobie głos.

W muzyce symfonicznej dopiero człowiek czuje się swobodnym, czystym wobec rządu, jak dziewica — aby tylko nie grywano autorów polskich, bo u nich o melodyę swojską nietrudno. Niepoprawni są, pomimo tylu doświadczeń dziejowych!

Krytyka warszawska zrzekła się z góry prawa krytykowania Filharmonii. Od początku do końca roztaczała ona koło niej słodki dymek kadzideł. Dopiero po zamknięciu pierwszego sezonu wypowiedziano w paru pismach prawdę. Pokazało się, że instytucya ta dla muzyki swojej bardzo niewiele zrobiła, dla muzyki ogólnie-

światowej również mało. Oprócz więc istnej panoramy szybko przelatujących obieżyświatów zagranicznych, którzy dobrze sobie u nas kieszenie ponabijali, nie nowego w Filharmonii nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy. A rezultaty: upadek materyalny innych naszych instytucyj muzycznych i jeszcze gorsze podrażnienie i tak niemilych stosunków. Pokazało się, że na koncertach symfonicznych nie wykonano w ciągu sezonu ani jednego utworu polskiego.

Losy muzyki dzieli w znacznej mierze malarstwo i rzeźba. Dzieje się to pośrednio również za sprawą złych warunków politycznych. Sztuki plastyczne od tych wpływów łatwiej mogłyby się uniezależnić, ale oprócz ogólnego spętania w głębi duszy, jest coś w atmosferze warszawskiej, co działa rozkładowo na rozpędy artystyczne.

Tam, gdzie elementarna troska o możność oddechu zasłania szersze horyzonty, wszelkie indywidualne wzloty na skrzydłach natchnienia są albo niemożliwością, albo, jeśli się wyjątkowo zdarzą, wydają się dla otoczenia urągowiskiem, budzą w niem rodzaj zawiści i chęć zestrychowania tych głów wyosobnionych do poziomu ogólnego. Warszawa współczesna posiada smutną martyrologię, zaznaczoną mogiłami Podkowińskiego i Kurzawy — artystów, którzy sztukę

miejscową podnieśli do wyżyn w Warszawie nieznanych.

Atmosferze artystycznej brak tutaj pierwiastku bardzo ważnego, mianowicie bezinteresowności wysiłków twórczych. Panuje skłonność łatwego sprzedawania talentu dla osiągnięcia wyższych zarobków i zrównania się w stopie życiowej z filistrami. Warszawa, wytwarzając obyczaje i stosunki towarzyskie przeważnie w domach prywatnych, nie daje swobody artystom, którzy w każdym innem środowisku mają możność urządzania sobie życia wedle potrzeby zawodu i upodobań. Tutaj kodeks salonikowy nie zezwala na odbieżności od szablonu; od uczonego, artysty, akademika, wymaga się tej służbiowości towarzyskiej, co od kantorzysty. Artysta, puszczony w wir takiego życia, wygląda wkrótce gładko, jak kamyk w żwirze wypolerowany prądami wody, upodabnia się do innych.

Miasto przytem, nie mające żadnych potrzeb publicznych, i sztuki cenić nie może jako dorobku publicznego. Jest ona przeznaczona wyłącznie na użytek prywatny bankierów, przemysłowców, na użytek salonikowy. Zarówno obrazki, jak i rzeźba w postaci posążków i medalioników nosić muszą charakter obstalunkowy, zastosowany w smaku do mebli i tapet. A że ludzie zamożnych, kupujących tego rodzaju dzieła sztuki dla siebie lub na podarki w Warszawie

jest wielu, więc znaczna stosunkowo kolonia artystyczna zaledwie wydoła tym zapotrzebowaniom, a dla sztuki samej nie ma kto pracować.

Obym był złym prorokiem, ale na poprawę tych stosunków nie wpłyną — zdaje mi się — istniejące Towarzystwa sztuk pięknych i Artystyczne, pomimo budowy świetnego gmachu, pomimo prób wytwarzania klubowego życia artystycznego.

Wystawa w Pałacu sztuki (w Towarz. zachęty sztuk pięknych), dotychczas przynajmniej, nie może się poszczycić niczem godnem uwagi z twórczości miejscowej, a natomiast, co jest charakterystyczne, konkurencyę nie do pokonania wytwarzają temu Pałacowi salony handlarzy obrazów i sklepiki artystyczne, popierane przez artystów z jawną nieraz niechęcią dla ich własnej instytucji, jako ruchliwsze pod względem handlowym.

Widzimy więc, że życie artystyczne, na równi z życiem publicznem i z prasą, uzależnione od całego układu stosunków polityczno-społecznych, w warunkach, w jakich pozostaje dzisiaj Warszawa, ulegać musi procesowi uprzywątlenia się, a przez to uwsteczniania.

XI. Stan umysłów.

Apolityczność umysłów. — Literackie traktowanie spraw politycznych. — Rola prasy w chaosie pojęć. — Mrok niewiadomości. — Uczuciowość społeczeństwa i jej pierwiastki dramatyczne. — Zachód zakordonowy i wschód rosyjski, jako źródła optymizmu narodowego. — Poczucie siły i wyższości. — Stosunek uczuciowy do rodziny słowiańskiej.

To, co dotychczas przesunąłem przed oczyma czytelnika, jest mniej więcej odpowiedzią na nurtujące rodaków za kordonem pytanie, jak wygląda Warszawa ze swemi stosunkami realnymi. Trudniej jest scharakteryzować samą duszę mieszkańców, ich nastroje, uczucia i myśli w sprawach wszystkim nam wspólnych, narodowych.

Właściwości duszy zbiorowej w tej dziedzinie trudne są do uchwycenia tam, gdzie tej duszy nie wolno legalnie się wyrazić, szczerze wypowiedzieć w czynach zbiorowych, w mo-

wach, odezwach, w głosach prasy, w utworach literackich i artystycznych.

Całkowite niemal odsunięcie obywateli od radzenia i działania w sprawach ogólnego znaczenia i zupełne przerwanie w społeczeństwie jawnego obiegu myśli narodowej po tylu dziesiątkach lat musiało wytworzyć w umysłowości pewne zmiany, grożące kalectwem.

Obywatel oświecony na odpowiedzialnem stanowisku społecznem, odsunięty od polityki, wolny od codziennej troski o dobro narodowe, odzwyczajony od działalności w tej dziedzinie, oddany wyłącznie walce o chleb lub używaniu, co najwyżej radzący w sprawach zawodu swego — jest zjawiskiem w czasach nowożytnych nienormalnem. A taki jedynie typ obywatela pod rządem rosyjskim jest legalny. Myśl narodowa, idea polityczna polska — to strawa świąteczna bogatszych duchowo jednostek, zdolnych do ofiar. Ogół odzwyczał się nietylko od praktyk politycznych, ale nawet od dyscypliny myślenia politycznego. Ogół w Warszawie musiał stać się apolitycznym i pod tym względem przypomina w zakresie spraw religijnych sferę wolnomyślniej inteligencji, odsuniętej od spraw kościoła i obrządków religijnych. Oczywiście, jak w ostatnim wypadku nie zawsze może być mowa o zaniku wiary i uczuć religijnych, tak i w tamtej dziedzinie apolityczność nie zawsze idzie

w parze z zanikiem patryotyzmu. Owszem Warszawa bardzo jest patryotyczna; ciągły ucisk nie daje zaniknąć instynktom zachowawczym, dzięki którym opiera się ona mocno próbom wynarodowienia. Ale jest to uczucie bierne, płynące z instynktu zachowawczego, w sprawach ogólnej polityki narodowej ogół musiał się stać «bezwyznaniowym».

W stanie dzisiejszego bezwładu politycznego, kiedy chodzi o bierną obronę istniejącego stanu posiadania, instynkt ten częstokroć wystarcza. Daje on ludności nieraz bardzo trafne wskazówki, jak się ma zachować wobec wydarzeń, że przypomnimy pełną godności postawę jej podczas odwiedzin carskich, w czasie odsłonięcia pomnika Mickiewicza, wobec wypadków wrzesińskich itp. Masy ludowe, klasa drobnomieszkańska, ogół kobiet pielęgnują w sobie najlepiej ten pierwiastek uczuciowy, a gdy chodzi o jego wyraz, sfery te odznaczają się dającą wiele do myślenia solidarnością. Im to zawdzięcza społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim pewną spistość i rezonans w chwilach, kiedy wypadki wymagają od niego jednolitego nastroju.

Ton polityczny z tej masy wydobywa, poza organizacjami politycznymi, niewidzialnymi dla oka, młodzież szkolna. Jest to zjawisko nienormalne gdzieindziej, ale tutaj tłumaczące się apo-

litycznością inteligencji. Społeczeństwo pozbawione jest przywództwa naturalnego ludzi oświeconych i odpowiedzialnych. Masa rządzi się instynktem zachowawczym, młodzież wydobywa ton, a inteligencja rozstrzelona w ideałach, mędrkuje, szukając surogatu pracy narodowej w byle jakim zajęciu ekonomiczno-kulturalnem, nawet w higienie.

Inteligencja, nie mająca pod ręką żadnej pracy realnej w dziedzinie polityki, oddaje się spekulacyom umysłowym na tematy polityczne. W ten sposób trudno jest uchwycić ster umysłów w kraju i zaprowadzić je do politycznego użytkowania uczuć patryotycznych, ale łatwo jest wyzbyć się nawet zdrowego instynktu narodowego, ożywiającego masy. Myśl polityczna, wzięta na stolik literacki, przypomina swoją bezinteresownością ruch wojska w czasie manewrów lub uroczystego przeglądu. Gdyby wojsko nie miało nigdy spróbować swej siły w walce, to w końcu poza lśniącem uniformem i zgrabnemi butami nie widziałoby żadnej innej racyi swego istnienia. To samo się dzieje z polityką, manewrującą w dziedzinie doktryn. Literackość staje się ich siłą i jedyną wartością.

Doktryny te nie wiele mają znaczenia, dopóki chodzi o spełnianie minimalnego programu narodowego — obrony od rusyfikacyi, tem mniej znaczenia ma tutaj podział na stronnictwa po-

lityczne. Ale błędem byłoby utrzymywać, że Polak w zaborze rosyjskim może się obejść bez polskiego programu politycznego. Prasa np., w najcięższych nawet warunkach cenzuralnych, musi kierować się jakimś programem politycznym, choćby lokalnie biorąc roztrząsane przez nią sprawy nie miały realnego znaczenia. A na prasie warszawskiej widać, jak daleko sięga apolityczność społeczeństwa. Cenzura wpływem swoim miota prasą w tę lub inną stronę, zależnie od kierunku chwilowego polityki rosyjskiej, a dziennikarze nie mają busoli polskiej.

Prasa warszawska, z małemi wyjątkami, a z nią ogół inteligencji podczas wojny południowo-afrykańskiej stała po stronie Boerów, wygadując najgorsze rzeczy przeciwko Anglikom ku poklaskowi opinii rosyjskiej. Nie zrozumiano nawet stanowiska Sienkiewicza w liście do Suttnerowej. Dzienniki warszawskie, dążąc bezwładnie, jak woda, w tę stronę, gdzie otwarty (przez cenzurę) upust, poświęcają więcej energii, niż potrzeba, na walkę z Niemcami. Była chwila w okresie wrzesińskim tak bezwzględnego folgowania uczuciom bez umiaru politycznego, że społeczeństwo drgnęło sympatją ku Wschodowi słowiańskiemu. Gdyby nie interwencya na czas ludzi politycznie myślących, którzy puścili na opinię strugę zimnej wody, odsłaniając Wrzesnię rosyjską w Siedlcach i Białej, niekryty-

czność prasy mogłaby zrządzić nieobliczone w układzie opinii szkody.

Prasa warszawska nie może agitować politycznie, ale faktom mogłaby dawać oświetlenie przez samo grupowanie, podkreślanie lub omijanie ich. Ale, niestety, nie zawsze wie, co robić z faktami, wydarzającymi się w ziemiach polskich. Były przecież pisma tygodniowe, redagowane przez polityków-doktrynerów, które w czasie wypadków rusińskich na uniwersytecie lwowskim stanęły po stronie Rusinów — wbrew interesom narodowym polskim.

Chaos w pojęciach politycznych powiększa cenzura, która przez wykreślanie usuwa z korespondencyj galicyjskich wszystkie światła, pozostawiając tylko cienie. Stosunki z zakordonem są utrudnione, mało kto poznaje osobiście stan rzeczy w Galicyi. Opinia błądzi więc po omacku lub chorobliwie się wypacza; oddaje się udęczeniom lub wpada w zgola optymistyczne złudzenia. A przedewszystkiem stale jest przedrażniona, zdenerwowana, jak to się dzieje z ludźmi krótkowzrocznymi w pokoju źle oświetlonym.

Pomijając stronę dyrektywy politycznej, to przedewszystkiem zrozumieć należy, że opinia w Warszawie źle jest informowana, że przeciętny obywatel, do którego nie dochodzą pisma nielegalne, denerwuje się otaczającą go ciemnością... Nieznane mu są plany rządu rosyjskiego

względem Polaków, poszczególne jego kroki, osłonięte tajemnicą i jego siły właściwe. W każdej chwili może się od tego rządu wszystkiego spodziewać; każda plotka polityczna jest wiarygodną. Masę energii umysłowej marnuje się na przeżuwanie plotek i na sprawdzanie podstaw legend krążących. Polityka redukuje się mimowoli do wywiadów: co słyhać, jak to było istotnie?

A wieści złowróżbne, niestety, sprawdzają się często, częściej, niżby je przenieść mógł filister europejski, zażywający w całej pełni praw obywatelskich, prawa nietykalności osobistej. Gali-cya musiałaby sięgnąć pamięcią do swego czwartego lat dziesiątka w ubiegłym stuleciu, aby sobie przypomnieć stan umysłów analogiczny do dzisiejszego w zaborze rosyjskim.

Dosyć wymieniść nastrój wywoływany szubującą po ulicach pogłoską o masowych areztowaniach. Ile różnorodnych uczuć wznieca taka wiadomość, w ilu duszach zabija odwagę! Równie tragicznych momentów nie przetrawia żadne dziś środowisko ludzkie w Europie. Nigdzie nie spotka się tylu przykładów obłędu umysłowego na tle prześladowań politycznych. Młody człowiek, schwycony w szpony manii prześladowczej, widzi tutaj szpiegów dokoła, wszystkie moce nadziemskie pchają go w otwarte bramy cytadeli.

Znana jest odpowiedź dziecka w salonie, na pytanie, czem będzie w przyszłości. Nie wyobrażało sobie inaczej karyery, jak cytadelę po ukończeniu szkół. Nie widziało kolo siebie wzorów innego życia.

Warszawa zabawami swemi zagłusza wiele smutków, które ją trwożą. Ma w sobie dumę stolicy, połączoną z poczuciem odpowiedzialności swojej, jako serca wielkiego kraju; odczuwa wszystkie bole na obszarach całego kraju i w bezradności swojej spala je na ogniu frazesu.

Uczuciowość Warszawy rozwinięta jest więcej, niżby się to z powierzchownej znajomości miasta wydawać mogło. Jest to wielki zbiornik sił żywotnych narodu, ale też wielki zbiornik łez i smutku. Tutaj dochodzi do świadomości narodowej tragizm nierównej walki, staczanej z rządem przez unitów i wielki grobowy smutek, wiejący z obszarów Litwy i Rusi. Inteligencya miejscowa żyje tą niedolą bezpośrednio, podczas gdy za kordon dochodzi tylko echo warszawskie, niezawsze dokładne. Ta uczuciowość Warszawy stanowi jedyną poważną jej siłę jako ogniska narodowego.

Na jej tle zrozumiałą jest rola kobiet, o której wspomniałem w rozdziałach poprzednich. Te, nie wychodząc ze sfery uczuć, wrażliwe na klęski osobiste, dotykające społeczeństwo w postaci ciągłych aresztowań, są najwyraźniej-

szym wykładnikiem warszawskiej psychiki zbiorowej.

Warszawa ma w sobie wiele żywotności, a ta nie daje ugruntować się pesymizmowi. Podtrzymuje ją na duchu w większym stopniu, niż to się przypuszcza za kordonem, współczucie i żywe zainteresowanie jej dolą w Galicyi. Warszawa — powiedziałbym — ma nie tyle styczność duchową z Krakowem, ile poczucie jego bliskiej obecności; może się to wydawać nieco mistycznym, a jednak przeświadczenie, że w Krakowie słychać bicie serca Warszawy, dodaje wiele otuchy. Każdy dowód tego rodzaju, przez kordon przemycony, podnieca zmęczone dusze.

Wysoki mur kordonu nie pozwala wprowadzić Warszawie widzieć Zachodu, ale podnieca jej wyobraźnię.

Cenzura puszcza stamtąd mało wiadomości, akurat tyle, ile potrzeba na to, aby wiele rzeczy opacznie sobie przedstawiać lub w świetle różowem. Pokładane niegdyś na Europę nadzieje osiadły w duszy kryształkami wspomnień i przeczuć, a obok nich rosną żywe rachuby na Galicyę, której dano obcować z rzeszą narodów europejskich. Warszawa bardzo jest dumna z Galicyi; nie trzeba pod tym względem brać w rachubę niefortunnych, wyhodowanych przez cenzurę głosów prasy. Każda wiadomość o jej

powodzeniu przyśpiesza obieg krwi w Królestwie.

Podczas gdy Europa widzialna jest w Warszawie tylko przez dziurkę od klucza, Wschód rosyjski leży przed nią rozłogiem — coraz mniej tajemniczy.

I tutaj tkwi drugie źródło otuchy. Jest to — powtarzam — właściwością natur żywotnych, że wszędzie znajdują pociechę; widok kultury rosyjskiej budzi w społeczeństwie polskiem poczucie siły i wyższości. Jest to czynnik bardzo ważny w psychice Warszawy, a powinien być zrozumiały w Galicyi. Tutaj bowiem na przegnębienie umysłów wpływa sąsiedztwo z kulturą wyższą — niemiecką. Jesteśmy wszędzie wrażliwi, nie tylko w Warszawie. Galicyanin ma z jednej strony mur kordonu rosyjskiego, poza którym świata nie widzi, a z drugiej strony — mur kultury niemieckiej. Sąsiedztwo takie mogłoby podniecać do pracy, ale nas przede wszystkim gnębi psychicznie. W Galicyi byliśmy dotąd wprost zahipnotyzowani wielkością kultury obcej i ustępowaliśmy przed nią piędz po piędzi. Dziś jeszcze wielu kupców i przemysłowców uważa język niemiecki za sposób wkuupywania się do Europy, a ogół zaledwie da sobie wyperswadować, że jesteśmy narodem nie gorszym od każdego innego i mamy prawo mieć Polskę dla siebie.

Warszawa i całe Królestwo ma znacznie więcej poczucia siły narodowej, co tłumaczy się samymi rozmiarami zaboru, ale ten ceniony «tupet» warszawski, zdaniem mojem, należy przypisać temu, że Warszawa nie styka się z kulturami, któreby jej imponowały.

Z objęć obcej kultury można się wyrwać; mamy na to dowód Czechów, i Galicya na to się zdobędzie przy znacznym nakładzie świadomości i celowej pracy politycznej. Ale w okresie bezwładności politycznej, kiedy się żyje odruchami instynktowymi, takie obrzydzenie do cudzej kultury, jaką ma Warszawa, jest rzeczą zbawczą.

Królestwo ciąży ku Europie i nie wchodzi w obręb interesów realnych kultury rosyjskiej. Inaczej z Litwą, która — wbrew wysiłkom jednostek oświeconych — zwraca się, parta siłą interesów realnych, ku słońcu kultury rosyjskiej, nie ma do niej wstrętu, owszem oswaja się z nią. Jest to proces rusyfikacji. Ciężenie w tę stronę, wytworzone przedewszystkiem przez lud białoruski na Litwie, nieobce inteligencji, a właściwe wszystkim emigrantom naszym w Rosyi, Królestwu Polskiemu nie jest znane. Warszawa jest dumna ze swej odrębności kulturalnej i wyższości, a dopóki będzie dumna, nie znajdzie do niej przystępu rusyfikacja.

Tem psychologicznem zjawiskiem awersyi do

kultury rosyjskiej tłómaczy się niepowodzenie, jakie spotyka w Królestwie partyę moskiewską z Piltzem i Spasowiczem na czele. *Kraj* petersburski, będący w gruncie rzeczy organem inteligencji polskiej zrusyfikowanej, organem pewnych jednostek na Litwie i Rusi, oraz w koloniach polskich w Cesarstwie, o ile jest w Warszawie rozumiany, budzi wstręt. Nie ma też odbiorców tutaj.

Pogarda dla kultury rosyjskiej idzie tutaj w parze z przecenianiem, nieraz za daleko idącym, potęgi rządu moskiewskiego. Ten i ów upada na duchu i wchodzi na drogę «ugodowego» sposobu myślenia, wyrzekając się mrzonek patryotycznych, ale jednocześnie nie pozbywa się wiary w wyższość kultury polskiej i lekceważenia narodu rosyjskiego wraz z jego dobriem. Nie jest to nienawiść; raczej duma i wynik dobrego zapoznania się z sąsiadem.

To też nic bardziej nie dziwi Warszawy, jak rozlegające się od czasu do czasu po Europie hasła słowianofilskie. Wszystko może mieć tutaj powodzenie, aby było modne, ale do Słowian Warszawa nie ma pociągu. I w tem instynkt Warszawy jest wyśmienity; legnie on, zdaje się, w podwaliny wszelkich możliwych w przyszłości układów politycznych z «braćmi» Słowianami. Imponować oni Polakom nie będą, zbyt wybitną mamy indywidualność. Narody

XII. Perspektywa.

Stosunek duchowy Warszawy do innych dzielnic polskich. — Potrzeba krytycyzmu w ocenianiu jej roli narodowej. — Rozstrój myśli politycznej i cywilizacji pod uciskiem rządu rosyjskiego. — Czy Warszawa może brać na siebie legalnie akcję polityczną?. — Potrzeba tajnej organizacji narodowej. — Widoki na przyszłość.

Już po napisaniu ostatniego rozdziału otrzymałem październikowy zeszyt *Przeglądu Wszechpolskiego* z artykułem p. Wolomirskiego. W dyskusyi na ten temat udział mój będzie tem bardziej usprawiedliwiony, że polemiczne aluzye p. Wolomirskiego łatwo mi było wziąć do siebie, w swoich bowiem obrazkach rzuciłem na Warszawę, pomimo miłości, jaką dla niej żywię, niejeden cień ponury ¹⁾.

Autor wyszedł z niewłaściwego założenia, upatrując źródło krytycyzmu względem Warszawy w dzielnicowym antagonizmie, opartym

¹⁾ Obrazki moje drukowane były w *Słowie Polskiem* od sierpnia 1902.

na przesądach i wzajemnych pretensjach, a podsyconym przez wrodzoną narodowi «kłótniwość, swarliwość i powszechne gadulstwo». «Od niedawna — pisze on — od lat kilku dopiero, w Galicyi szczególnie, zaczyna się lekceważyć Warszawę, jakby w odwecie nieusprawiedliwionym za wiekowe upośledzenie, w którym sama Galicya pozostawała po upadku Polski»... Autor powołuje się na zauważone gdzieś «szykany, docinki i aluzye pod adresem Warszawy» i w nich widzi ten odwet Galicyi i owo lekceważenie Warszawy.

Jest to odkrycie zupełnie niespodziane i zupełnie błędne. Nietylko w Polsce, ale na całym świecie istnieje pewien antagonizm między prowincjami jednego kraju, miastami, ba — nawet wioskami. Posłuchajcie piosnek na polu, jak robotnicy z jednej wsi dokuczają mieszkańcom wsi sąsiedniej. Słuchając tych docinków, szykan i aluzyi, wyobrazić sobie można, że w każdej z tych wiosek mieszkają sami idyoci, niedojdy, rozpustnicy, albo że każda z nich dyszy istotnie zawiścią i żądzą odwetu. Ale nikt nie zajdzie tak daleko w uogólnianiu wniosków, snutych z krakowiaków. Istnieje powszechnie jakaś potrzeba psychiczna porównywania się z innymi na swoją korzyść, podwyższania się w swoich oczach bodaj przez poniżenie innych, nawet bez pobudek takich, jak zawiść lub chęć odwetu.

Jest to potrzeba tak niezasadnicza dla sprawy życia i w gruncie tak bezinteresowna, że zaspakaja się ją najczęściej w sposób żartobliwy i niekrwawy, nawet z pomijaniem miejsc najbardziej bolących przeciwnika, powiedziałbym — potrzeba satyry, bardziej estetyczna, niż praktyczna.

Nie można więc docinków i aluzji, posłyszanych w Krakowie, poczytywać za dowód lekceważenia Warszawy przez Kraków; inaczej, trzeba byłoby znowu brać na seryo wszystko to, co w Warszawie mówi się z potrzeby emulacyi o Krakowie. Zwłaszcza gość, bawiący czasowo w drugiej dzielnicy, ma szansę wysłuchania wielu nietrafnych sądów o swojej prowincyi lub mieście. Ale te sądy wygłaszane są na jego cześć, z racyi jego pobytu, jest ich wiele, dlatego łatwo znaleźć w nich kolec i dowcip. Martwić one mogą czem innym, nie złościwością swoją, mianowicie tem, że oparte są zbyt często na nieznajomości życia zakordonowego. Od lekceważenia gorszy jest w tym wypadku brak wzajemnego zainteresowania i węzłów duchowych między dzielnicami, nieznajomość stosunków; gorsze jest to, że się o tych stosunkach zakordonowych zamało mówi.

Wogóle jednak, kto zna nasze stosunki międz dzielnicowe, nie przyzna racyi p. Wolomirskiemu. Galicya mniej lekceważy Warszawę,

niż ta Galicyę, jeżeli chodzi o sądy wygłaszane potocznie, a nawet w prasie; jakże pogardliwie mówi się nieraz w Warszawie o nędzy w Galicyi, o słabości jej rządu autonomicznego i gospodarce, a Galicyan w tym razie nie stać na pogardliwe potraktowanie tych wystąpień, będących niewątpliwie objawem przystosowania się pewnych sfer warszawskich do ideałów społeczno-politycznych rosyjskich. Mieszkańców Galicyi nie stać — powiadam — na godną odpowiedź w takim wypadku, i tu mamy dowód, jak daleką jest ona od szykanowania Warszawy.

Tutaj leży rdzeń kwestyi i niebezpieczeństwo. Niechaj sobie Litwa lub Galicya pokpiwa z warszawskich ludzi, z ich obyczajów i wad — to są wszystko krakowiaki docinkowe, ale gdy chodzi o emulację miast czy prowincyi w przywództwie narodowem, gdy mowa o wyższości typu życia narodowego w Warszawie, gdy mowa o całości istnienia politycznego w zaborze rosyjskim, to należałoby zalecać każdemu Polakowi krytycyzm, aby w entuzjazmie swoim dla Warszawy lub w pobłażliwości swojej nie szedł wbrew przykazaniom polskiego ideału politycznego. Komu o czystość tego ideału chodzi, ten z niepokojem słucha w Galicyi zachwyków nad Warszawą, zwłaszcza gdy wie, z jakich źródeł one płyną. Galicya zazdrości Warszawie dostatków, w jakich opływają domy prywatne,

zazdrości piany, jaką wydaje z siebie szumne życie prywatne, kraszając nią pustynną jałowość życia publicznego; stąd niekrytyczne wnioski o szczęśliwości Warszawy i tęsknota do niej, a to uczucie pożądlivosti zagłusza w umysłach kryteria polityczne do tego stopnia, że nie zwraca się uwagi na stopniowy upadek Warszawy, jako ogniską narodowego.

Niebezpieczeństwo grozi skądinąd: nie od tych, którzy sceptycznie o Warszawie mówią, ale od tych w Galicyi i Poznańskiem, którzy o niej prawią bez zastanowienia legendy, podają ją za eden życia polskiego w porównaniu z miastami stołecznymi w innych zaborach. Niestety, za dobrze o Warszawie się mówi i nazbyt bez zastrzeżeń, a wpłynęła na to, prócz tradycyi po tej ostatniej wspólnej stolicy, w większej mierze późniejsza niezajomość jej dziejów. Polacy za kordonem źle byli o Warszawie informowani; dochodziły do nich tylko odgłosy skandalów politycznych, dokonywanych przez rząd moskiewski, coraz opaczniej przez trójlojalistów komentowane i episyerskie opinie o zamożności mieszkańców. Galicya i Poznańskie traciły prosto prawo wydawania jakichkolwiek sądów o Warszawie, bo jej nie znały, a tem więcej prawo sądzenia o jej rozwoju wewnętrznym, z którego ona sama nie zdawała sobie sprawy. A jednak Warszawa uroku nie traciła, owszem zyskiwała na uroku

w miarę upadku wspólnych, obowiązujących całą Polskę ideałów politycznych, a wzrastania oportunistu mieszczańskiego.

Jeżeli tak jest, to jakim sposobem p. Wołomirski zauważyć zdołał objawy przeciwne, objawy «lekceważenia» Warszawy, zwłaszcza w Galicyi? Skąd wziął nawet dość ścisłą datę tej przemiany, utrzymując, że daje się ona zauważyć «od niedawna, od lat kilku dopiero?» Cóż zaszło w tym czasie w naszych stosunkach tak zasadniczego, coby mogło tę zmianę frontu względem Warszawy spowodować? Wydaje mi się, że jest to data wzmożenia się w społeczeństwie polskiem idei jedności organicznej narodu we wszystkich zaborach; data, kiedy pokolenie, przychodzące dziś do głosu, dało wyraz odczuwanej tajemnie we wszystkich zaborach potrzebie zogniskowania myśli politycznej polskiej; data, kiedy rozejrzano się po ziemiach polskich i wymierzono zasobność sił narodowych i możliwość ich rozwoju we wszystkich dotychczasowych ogniskach życia polskiego; kiedy zrozumiano, że dla wytworzenia nowego typu polskiego umysłu politycznego nie wystarcza siła liczebna i materyalna takiego zbiornika, jak Warszawa, że warunki, w których ona istnieje, odbierają jej wszelką możliwość sprostania zadaniom nowożytnego ogniska umysłowości, że wreszcie nie może się ona mierzyć pod względem

intensywności polskiego życia politycznego z miastami mniejszemi, ale wolniejszymi, jak Kraków i Lwów. Jednem słowem, od pewnego czasu, mianowicie od czasu wzmożenia się hasła czynnej polityki wszechpolskiej, zmałało znaczenie nieczynnej politycznie Warszawy. Nie można tego nazwać lekceważeniem, jest to tylko stwierdzenie obecnej roli dziejowej nieszczęsnego miasta, sparaliżowanego w swym rozwoju przez ucisk polityczny ze strony Rosyi. Czyżby to p. Wolomirski brał za objaw «antagonizmu, złości i nienawiści dzielnicowej» to, co jest właśnie owocem dążeń koncentracyjnych naszej doby, to, co jest wynikiem dokonanych w tymże celu obliczeń naszych sił narodowych i politycznych? Czyż takie trzeźwe zajrzenie w oczy rzeczywistości nie jest dla dalszej pracy narodowej lepsze od upajania się urokiem samego imienia, gdy chodzi o treść?...

Przypuszczam, że p. Wolomirski, mówiąc ogólnikowo o lekceważeniu Warszawy, miał na myśli owo taksowanie jej, jako ogniska życia narodowego dla wszystkich trzech zaborów; nie myślę bowiem, aby jej chciał bronić od pocisków satyry obyczajowej, zjawiska powszechnego, z którym się liczyć nie potrzeba, a nie widzę innego prądu, którymby się jaka niechęć ku Warszawie tłómaczyć mogła psychologicznie. Owszem istnieje wszędzie otwarty, nieograniczony kredyt

zaufania dla niej, który trzeba czasami w interesie narodowym ograniczać, aby na jej barki nie wkładać odpowiedzialności nad siły; w tym tylko interesie wskazuje się na jej braki i kalectwa, zrządzone przez ucisk polityczny, a nie pozwalające jej trzymać w dłoni steru wszystkich spraw narodowych. Gdybyśmy się pod tym względem łudzili, gdybyśmy, przeceniając siły Warszawy, zrzucali na nią wszystkie obowiązki pracy i ofiarności i czekali od niej podnieć, to wyrządzilibyśmy wielką krzywdę sprawie narodowej. Warszawa jest bardzo biedna, ona czeka ratunku od prowincyi zakordonowych; jest chora — nie można jej sił zbytnio przeceniać.

W celu udowodnienia, że lekceważenie Warszawy nie ma podstaw, autor przytoczył pokrótce dzieje wydarzeń politycznych w Warszawie w XIX stuleciu, świadczące o niepożytej żywotności społeczeństwa polskiego i Warszawy, jako głównej wyrazicielki jego ducha w zaborze rosyjskim. Nie wyprowadził jednak z faktów za ten czas należytych wniosków, między innymi tego smutnego wniosku, że w Warszawie coraz niebezpieczniej jest poruszać umysły do wypowiedania się w kierunku politycznym i to nie ze względu na cenzurę, lecz ze względu na godność narodową. Czasami chciałoby się dziękować cenzurze, gdy przerywa dyskusyę poli-

tyczną, tak nieprzewidzianą zgoła jest rzeczą, do czego się dogadamy przy swoim braku rutyny politycznej. Jakże wybitnym umysłem był Świętochowski, autor «Wskazań politycznych», a do czegoż w dobie pozytywizmu się dogadał? Prus jest typowym wyobrazicielem umysłowości warszawskiej — uczuciowiec przeczulony, bolejący z narodem, kochanek Warszawy; rzecz można, iż Warszawa, nazywana dla swojej uczuciowości sercem narodu, ma w Prusie swoje. A jednak jest to człowiek bez głowy, jeżeli chodzi o myśl polityczną, krzywdzi nasze piśmiennictwo, ilekroć pisze o polityce.

Prus jest ofiarny, gotów do poświęcenia swojej popularności dla dobra kraju, więc zajmuje się z bohaterstwa swoją niebohaterską polityką. Ale mam pewne dane do twierdzenia, że gdybyśmy kazali wypowiedzieć się w tej dziedzinie komukolwiek innemu z utalentowanych i słynnych pisarzy, mieszkających w Warszawie, każdy okazałby się również nieświadomym naszych interesów narodowych i w tak dowolny sposóbby wieszczył, że wolelibyśmy, aby wcale nie pisał. Z pośród pisarzy jeden Sienkiewicz, najprzytomniejszy z nich wszystkich i najobiektywniejszy, przez ciągłe badanie usposobień społeczeństwa i jego smaku, doszedł do odczuwania zachowawczych instynktów narodu i trafnie w wielu razach je wyraża (w listach swoich).

Osiągnął to, zdaje się, dzięki podróżom swoim, dającym mu możność poznania wszystkich dzielnic i całości kraju.

To, co mówię o poetach, dotyczy także warszawskich polityków zawodowych w dziennikarstwie i większości wybitnej inteligencji niepiszącej. Cóż mówić o tych sferach, których nie obowiązuje myślenie i czucie za miliony! Rok 1897, w którym politykująca Warszawa tak przyjaźnie powitała Mikołaja II, jest dowodem, do jakiego stopnia myśl polityczna uległa tutaj dezorganizacyi. To nie był błąd, jak mówi p. Wolomirski, lecz symptom rozstroju. Doświadczenie to uczy, że inteligencję warszawską popchnąć może do niepolitycznego czynu byle jaki generał-gubernator.

Na pomnik Mickiewicza, który ma być jasnym przeciwstawieniem tamtego faktu rozmaicie można patrzeć. Według jednych Warszawa w chwili stawiania pomnika «poczuła się znów stolicą Polski, odzyskała na chwilę moralny rząd nad krajem i narodem». Inni zaś z większą bodaj słusnością utrzymują, że nie był to akt zdrowego zmysłu politycznego — raczej po-folgowanie sercu, niż zamysł ogniska, sprawującego rząd moralny nad krajem i narodem. Ogół społeczeństwa tą niespodzianą darowizną rządu można było snadnie w błąd wprowadzić co do

natury naszego stosunku do rządu i zdemoralizować.

Coraz mniej rząd moskiewski daje sposobności Warszawie do robienia błędów, odsuwając ją coraz dalej od życia publicznego; wiele stron dodatnich pozostaje w takich warunkach w ukryciu — to prawda, ale też wiele stron ujemnych daje się przytem zataić. Kto jednak stosunki warszawskie zna zblizka, ma bardzo wiele danych do obaw na przyszłość i musi oświadczyć się za tem, aby punkt ciężkości «rządów moralnych nad narodem» przenieść z Warszawy do innych miast polskich. Zobaczymy np. w najbliższej przyszłości, jak postąpi ona (piszę w listopadzie) w sprawie projektowanej wystawy wszechsłowiańskiej w Petersburgu, co do której zastrzegła sobie (w pewnem kółku) prawo dyrektywy dla wszystkich ziem polskich.

Należy bowiem jasno zdawać sobie sprawę z tego, że w warunkach politycznych, uniemożliwiających jawną dyskusję o sprawach narodowych, legalne czyny polityczne muszą być niełojalnymi względem narodu, a co gorsza, są dla niego w stosunkach polsko-rosyjskich zawsze szkodliwe. Wynik dodatni akcji legalnej dla społeczeństwa polskiego mógłby się zdarzyć chyba w wypadku jakiegoś dyplomatycznego przelicytowania się Warszawy z rządem rosyjskim na spryt polityczny. Temu lub owemu

kółku dyplomatów warszawskich w naiwnej chytrności wydawać się to może prawdopodobnem, ale my, znając niemoc ich myśli politycznej, temu nie uwierzemy.

Rząd przeciwny w zasadzie jakiegokolwiek robocie politycznej Polaków, pozwoli im, gdy mu potrzeba, na pewien ruch w tym kierunku, zaproponuje n. p. rewję słowiańską w Petersburgu. Dosyć w takim wypadku, aby jeden człowiek powstał i rzekł publicznie: Polacy wezmą udział — a sprawa udziału będzie ubita. Nie wolno bowiem nikomu ostrzedz wtedy społeczeństwa, zaprzeczyć politykowi. Zapanuje grobowe milczenie między przeciwnikami tej idei, podskoczą zaś ku niej zwolennicy, nadadzą jej rozgłos ku obałamuceniu opinii publicznej, a gdyby opinia nawet odwróciła się od nich, rząd da im pomoc materyalną, i w rezultacie — społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim «jednomyślnie» weźmie udział we wszechsłowiańskim holdzie dla tronu moskiewskiego.

W taki tylko sposób robić można w Warszawie politykę legalną. Ogół narodowy tej legalnej Warszawie nie może dawać mandatów politycznych, bo tutaj legalna robota polityczna tylko z nazwy jest polską, będąc w gruncie rzeczy rządową. Warszawa w dzisiejszych warunkach może być polem jedynie nielegalnej, tajnej polityki polskiej. Jedynie tajna organiza-

cyja narodowa odpowiada wymaganiom życia w zaborze rosyjskim i wogóle zasadom polityki nowoczesnej, która bez poruszania do głębi świadomości szerokich warstw społecznych nie może nic dla narodu godziwego i trwałego dokonać. Politycy warszawscy, gotowi do robót narodowych wespół z policmajstrem, general-gubernatorem lub wiceministrem Kowalewskim, na wspomnienie polityki tajnej wpadają ze zgrozy w atak lojalności wobec rządu i niewątpliwie poczytują tajną organizację narodową za większego wroga społeczeństwa polskiego od rosyjskiej organizacyi państwowej. To jeden dowód więcej, że nie stoją oni na wysokości pojmowania warunków chwili obecnej.

Nie widzą oni tego, że wszelka ich akcyja jest możliwa tylko ze współdziałaniem rządu w kierunku jego interesów politycznych, sprzecznym zasadniczo z polskimi, a z drugiej strony nie chcą pojąć, że działalność organizacyi tajnej, opartej na podstawach demokratycznych, ma mniej pierwiastku samozwańczego, niż ich własna, pomimo że publicznie jawna. Organizacyja tajna nie ostoi się bez oparcia na głębokich podstawach w sercu i umysłowości mas i, jeżeli przyjdzie do rządu, to jest wszelka rękojmia, że sprawuje rząd moralny w narodzie.

Z takim tylko rządem w Warszawie dziś

może się liczyć Polska trójzaborowa, a legalną politykę narodową Warszawy musi lekceważyć i boleć nad nią.

Obrona Warszawy? Ale gdzież oskarżenie?.. Społeczeństw się nie oskarża, jeno się wyrozumiewa. Może być jedynie różnica w stwierdzeniach stanu obecnego i w tłumaczeniach jego przyczyn. P. Wolomirski swoim wywodem historycznym celu nie osiągnął, jeżeli chciał przekonać, że Warszawa, jako ognisko myśli narodowej, stoi do dziś na wyżynie zadań stolicy; potem zaś, nie chcąc być jednostronnym, odmalował ciemnymi barwami jej stosunki obyczajowe bez dostatecznego wykazania źródeł tych cieniów. Tutaj należałoby Warszawę bronić od jej obrońcy.

Dosyć jest rozumieć stosunki Warszawy, o których wyżej była mowa, aby usprawiedliwić wiele zjawisk ujemnych w jej życiu wewnętrznem. Pod względem obyczajowym i etycznym Warszawa nie jest gorsza od innych miast wielkich w Europie, a nawet znacznie jest lepsza. Sprawia to szlachetny charakter ludności polskiej, krzepiony ciąglem cierpieniem, podnoszony idealizacją niewoli narodowej. Autor przypisuje tej ludności takie wady, jak: bezmyślność, gadulstwo, flirciarstwo, obżarstwo, opilstwo, lekkomyślność, płytkość, efekciarstwo, blagę, udawanie, wspomina nawet o «głębszej

zgniliznie Warszawy». Któregoż wielkiego miasta nie dałoby się tak scharakteryzować, gdyby te sprawy obyczajowe dobywały się tak, jak w Warszawie, na pierwszy plan, nie odsuwane w perspektywę dalszych planów przez stosunki i zdarzenia życia publicznego?

Ludzie w Warszawie nie są tak źli i nie w charakterach wyłącznie popsulo się pod rządem moskiewskim społeczeństwo polskie. Te jeszcze istnieją w stanie, którego niejedna rasa mogłaby nam pozazdrościć w podobnych warunkach. Ale psuje się od góry i w ruiny pada budowa naszej cywilizacji, a społeczeństwo, tracąc jej dach nad sobą, zachowuje się nienormalnie, co — oczywiście — najjaskrawiej występuje w wielkiem mieście, gotowem do przyjmowania najwyszukańszych darów życia cywilizowanego.

Wyżej była mowa o utracie najwyższego daru społecznego — zdolności politycznego myślenia i zachowywania się w sprawach narodowych. Kazano nam się ludzić, że można z tego daru abdykować i żyć dalej wszystkimi innymi władzami, jakie pozostały, a więc tworzyć w nauce, literaturze, sztuce, regulować stosunki społeczne, pomnażać dobra materialne, poprawiać swoją rasę przez umiejętną hodowlę pokoleń, szerzyć oświatę, podnosić kulturę estetyczną, pielęgnować język, udoskonalać obyczaje,

rozwijać życie towarzyskie, szczepić upodobania sportowe itd. Pokazało się jednak, że tak nie jest, pokazało się przedewszystkiem na Warszawie. Bez swobód politycznych można było dojść tylko do pewnej mety, a potem trzeba było likwidować cywilizację całą, poczynając od góry.

Bez swobody zebrań, ruchu, słowa żywego i drukowanego uniemożliwiło się życie publiczne, co w dzisiejszych warunkach społeczno-ekonomicznych równa się rozbiciu wiązań całej budowy społecznej.

Rząd rosyjski zdeorganizował społeczeństwo polskie, wytrącając obywatelom z rąk wszystkie roboty narodowe i społeczne. Przerwano nawet łączność między pokoleniami, odsuwając społeczeństwo od spraw wychowania publicznego; poprzecinano wszystkie arterye obiegu myśli w prasie i na zebraniach, czyniąc porozumiewanie się rzeczą nielegalną; do autorów przystawiono straż cenzury, przez co literaturze, sztuce i prasie odebrano znaczenie czynnika rozwojowego i kierowniczego. To też Warszawa staje się istotnie «bezładnem zbiorowiskiem ulic i domów bez stylu, ludzi bez ducha i porządku w głowie, społeczeństwem bez kierownictwa i przewodnictwa». Pozostało jej jedynie życie towarzyskie, coraz bardziej zresztą krępowane przez policję. Zmuszone do spełniania wielu

funkcyi, usuniętych z areny publicznej, literackiej, dziennikarskiej, społeczno-kulturalnej rozrosło się ono do chorobliwych rozmiarów. Życie towarzyskie Warszawy robi wrażenie kotliny bez słońca, do której splywa z gór tylko tyle wilgoci, ile potrzeba, aby się żaby mogły hodować, potoki zaś górskie pochowały się gdzieś wewnątrz i tajnymi drogami łączą się z wolnymi obszarami ziemi polskiej. W życiu towarzyskiem Warszawy legalnej znaleźć można uprywatnione pierwiastki spraw publicznych, artystycznych, literackich, niekiedy doniosłe odłamy pracy kulturalnej, wiele szczerego złota uczuć patriotycznych, ale wszystko to razem zamienia się łącno w zabawę z pozorami pracy narodowej, w której samo gadanie *de publicis* wystarcza za pracę.

Oczywiście Warszawa zdołała wyrobić sobie osobny kodeks obyczajowy swego «uprywatnionego życia politycznego», ale kodeks ten zupełnie jest bezbronny wobec sprytnych uzurpatorów. Byle «infamis», dobrze się zakrzętnawszy, potrafi zebrać u siebie ludzi i przewodzić setkom najwybitniejszej inteligencji. Niepodobna jednak takich zjawisk brać za dowód zgnilizny moralnej tej inteligencji: rzeczy takie dzieć się muszą w społeczeństwie niezorganizowanym, gdzie salon prywatny zastępuje arenę publiczną i jest potrzebny istotnie.

Warszawie, a z nią krajowi całemu grozi istotnie niebezpieczeństwo wielkie. W nowożytnym układzie stosunków społeczno-ekonomicznych niema nigdzie miejsca na taką dziedzinę życia, którąby można odosobnić od wpływów złego ustroju prawnopaństwowego i zapewnić jej jaki taki samoistny rozwój. Bez swobód politycznych nie da się urzeczywistnić żaden ideał życia kulturalnego, społecznego, towarzyskiego, nawet domowego; pod ciągłym uciskiem społeczeństwo musi przyjść do ruiny u samych nawet podstaw. Postęp dokonywa się dokoła nas coraz szybciej i dosyć powstrzymać go u siebie, aby się przez to cofnąć. A my skazani jesteśmy na zastój przez szereg lat dziesiątków. Pocieszamy się tem, że pomimo to «cywilizacyi naszej nie zdolano zniszczyć, choć ją nadwyreżono i wstrzymano jej samodzielny rozwój». Ale czy ta odporność trwać będzie zawsze? Życie idzie naprzód w swoim skomplikowaniu, a im bardziej będzie złożone, tem trudniej będzie je obronić od destrukcyjnego wpływu warunków politycznych. Przy dawnym, bardziej patryarchalnym układzie stosunków społecznych łatwiej było mocą tradycyi samych utrzymać społeczeństwo w posłuszeństwie dla elementarnych przykazań narodowych. Ogół pozostawał mimo wiedzy pod kierunkiem warstw szlacheckich, pielęgnujących te tradycye. W Warszawie

samej koła towarzyskie, nadające ton całemu miastu, stamtąd czerpały idee i nastrój, one tworzyły opinię. Dziś społeczeństwo jest już zdemokratyzowane i o przewadze dawnej sfer szlacheckich nie może być już mowy. Gdzie dzisiaj jest kuźnia opinii, gdzie leży ośrodek nerwowy społeczeństwa — nie łatwo już określić.

Punkt ciężkości przeniósł się do środowiska mieszczańskiego, gdzie sterują żywioły najgadatliwsze i najmniej mające prawa decydowania o rzeczach narodowych — żydzi i kobiety. To samo środowisko stanowi o potrzebach umysłowych i rzeczach smaku, wywierając wpływ na prasę, literaturę i sztukę.

W społeczeństwie zdemokratyzowanym nawet życie towarzyskie przeniósł się na ulicę, przybierając charakter publiczny; o ile jest tamowane w tym kierunku, jak w Warszawie, o tyle przybiera charakter chorobliwy. Nauka, literatura i sztuka przeniósł się także na plac publiczny z klasztorów i dworów; wszystkie one, zdemokratyzowane, szukają, zamiast dawnych mecenasów, oparcia na szerokich masach i opieki specjalnych organów społecznych. Niema takiej dziedziny, w której nie trzeba byłoby odwoływać się do współdziałania mas narodowych. To, co przed 50 laty można było załatwić po domowemu, przynieść społeczeństwu z filantropii

prywatnej, dziś domaga się nawet w Warszawie inicjatywy i pracy społecznej.

Nie można więc na dowód żywotności polskiego społeczeństwa w zaborze rosyjskim przytaczać faktów z pierwszej połowy XIX stulecia, bo od tego czasu stosunki gruntownie się przeobraziły i w ostatnich czasach, zmieniając się coraz szybciej, domagają się wielkim głosem wolnej twórczości wszystkich mas narodowych. Dziś niepodobna, jak widzimy gdzieindziej, przedsiębrać nawet akcyi politycznej nazewnątrz bez udziału tych mas, akcyi, która dawniej wymagała decyzji jednego dyplomaty. Tem trudniej bez organizacyi społecznej myśleć o postępie wewnętrznym, nawet niepodobna zachować bez niej tego, co się już zdobyło.

W czasach nowożytnych, kiedy przywództwo wypadło z ręki jednej określonej sfery, kiedy nawet rodziny są rozbite rozbieżnością interesów i przekonań swoich członków, niema sposobu rządzenia inaczej społeczeństwem, jak przez docieranie bezpośrednie do mas. A tymczasem w drodze legalnej Warszawa coraz mniej może w tym kierunku działać wówczas, kiedy potrzeba zapanowania nad masami staje się z każdym dniem coraz naglejsza. To też jeżeli brać miarę z lat ostatnich, rozprzężenie społeczne coraz szybciej postępuje.

Inteligencya, wychowana przeważnie na idea-

łach narodowych z czasów przed uwłaszczeniem włościan, myśląca ciągle kategoriami dawnymi, nie łatwo orientuje się w stosunkach nowoczesnych Warszawy. Dopiero działalność stronnictwa demokratyczno-narodowego wskazała jednostkom samodzielnie myślącym drogę ratunku. Na nic się nie zdało bowiem odwoływanie się do patryotyzmu jednostek, aby grożący zewsząd upadek powstrzymywały; trzeba uchwycić ster nad zdeorganizowanymi masami przez tworzenie nowej, na zasadach demokratycznych opartej organizacji narodowej.

Dzieje Warszawy z lat ostatnich i jej przyszłość, jako ogniska życia narodowego, są dziejami stronnictwa tego — jego zwycięstw politycznych i walki wewnętrznej z małodusznością sfer, pragnących robić politykę i odradzać ginącą cywilizację polską przez legalną pracę wespół z rządem rosyjskim.

Wszystkie jaśniejsze chwile lat ostatnich, świadczące o samowiedzy narodowej, Warszawa zawdzięcza nie czemu innemu, jak tylko temu wszechpolskiemu ruchowi politycznemu, łączącemu ją z ludem uświadomionym i życiem politycznym dwu innych zaborów. Te pokłady podziemne nowej generacji politycznej dają rekojmię na przyszłość, że leżące w Warszawie i skazane na powolny rozkład zasoby uczuć patryotycznych i żywotności nie pójdą na marne,

że wytworzone przez ucisk polityczne bagno życia zbiorowego ma pod sobą jednak grunt trwały, który nie pozwoli temu ognisku zginąć dla historii narodu bezpowrotnie, na wzór owych świątyń legendowych, zapadłych pod ziemię.

Praca nad ocaleniem Warszawy będzie tem trudniejsza, że ta z natury położenia swego i swej misji handlowej musi mieć skłonności kosmopolityczne. W miarę zanikania twórczości cywilizacyjnej Warszawa, rozrastająca się mechanicznie pod względem materyalnym, łatwo wpaść może pod przemożny wpływ elementów obcych i stracić cechy miasta polskiego.

Praca narodowa ma tutaj olbrzymie zadanie. Nie sprosta temu zadaniu podniecająca się w uczuciach, a pozbawiona jednolitej myśli politycznej inteligencja w salonikach, nie sprostają dyplomaci, liczący na układy z rządem rosyjskim. Taka «robota narodowa» budzić musi lekceważenie; powagę Warszawie daje jedynie odpowiadająca jej zasobom i wymaganiom chwili dziejowej zorganizowana walka z uciskiem — i z własnym roztrojem.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Widok miasta	1
Rusyfikacja ulic. — Psychologia sztyldów podwójnych. — Estetyka ulic i ogrodów. — Miejsca ulubione i zaniedbane. — Powiśle. — Praga. — Św. Floryan.	
II. Ruch uliczny	12
Chorobliwe objawy ruchu. — Umiłowanie tłoku. — Warszawiak na ulicy. — Warsza- wianka. — Humor uliczny. — Dorożki war- szawskie. — Corso w Alejach Ujazdowskich. — Zabawy ogrodowe. — Noc.	
III. Opieka policyjna	22
Sieć policyjna. — Policya domowa. — Je- dnostka «pod dozorem». — Rewizya nocna. — Armia szpiegów policyjnych. — W fabryce, na pogrzebie, na balu. — Kontrola towa- rzystw legalnych. — Wojsko na posługach policyi. — Kozak-centaur.	
IV. Życie publiczne	32
Przedstawicielstwo narodowe. — Polacy na urzędach. — Instytucye społeczne. — Język	

rosyjski w biurach prywatnych, — Złudzenia ugodowców i zwolenników pracy organicznej. — Monopol rządowy w zakresie oświaty ludowej. — Kuratoria trzeźwości. — Policmajster jako przywódca pracy obywatelskiej i kulturalnej.

V. Szkoły 44

Charakter szkoły, jako instytucji nienawistnej rządowi. — Cywilizacja polska w rękach barbarzyńcy. — Walka z młodzieżą. — Brak szkół i drożyzna ich. — Łapówki jako środek arystokratyzacji szkoły. — Organizacja oświaty publicznej. — Szkoły fachowe wobec potrzeb oświaty i przemysłu. — Język rosyjski wykładowy. — Wpływ szkoły rosyjskiej na zdrowie i charakter młodzieży. — Nauka języka polskiego. — Przepisy o «nauczaniu tajnem».

VI. Życie towarzyskie 60

Rys zasadniczy. — Udomowienie stosunków towarzyskich. — Przywileje kobiet stąd płynące. — Typ męski. — Mieszkanie warszawskie. — Na pastwę gości. — Karnawał. — Uprywatnianie zebrzań publicznych. — Kontrola policyjna na balach i odczytach. — Wyścigi warszawskie. — Arystokracja się bawi. — Rozpusta idzie z góry. — W roli kłownów.

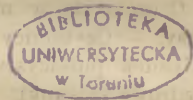
VII. Cenzura 77

Swoboda druku jako warunek niezbędny życia cywilizowanego. — Kontrola drukarni. — Cenzura policyjna. — Komitet cenzury jako ognisko piśmiennictwa. — O ożem pisać nie

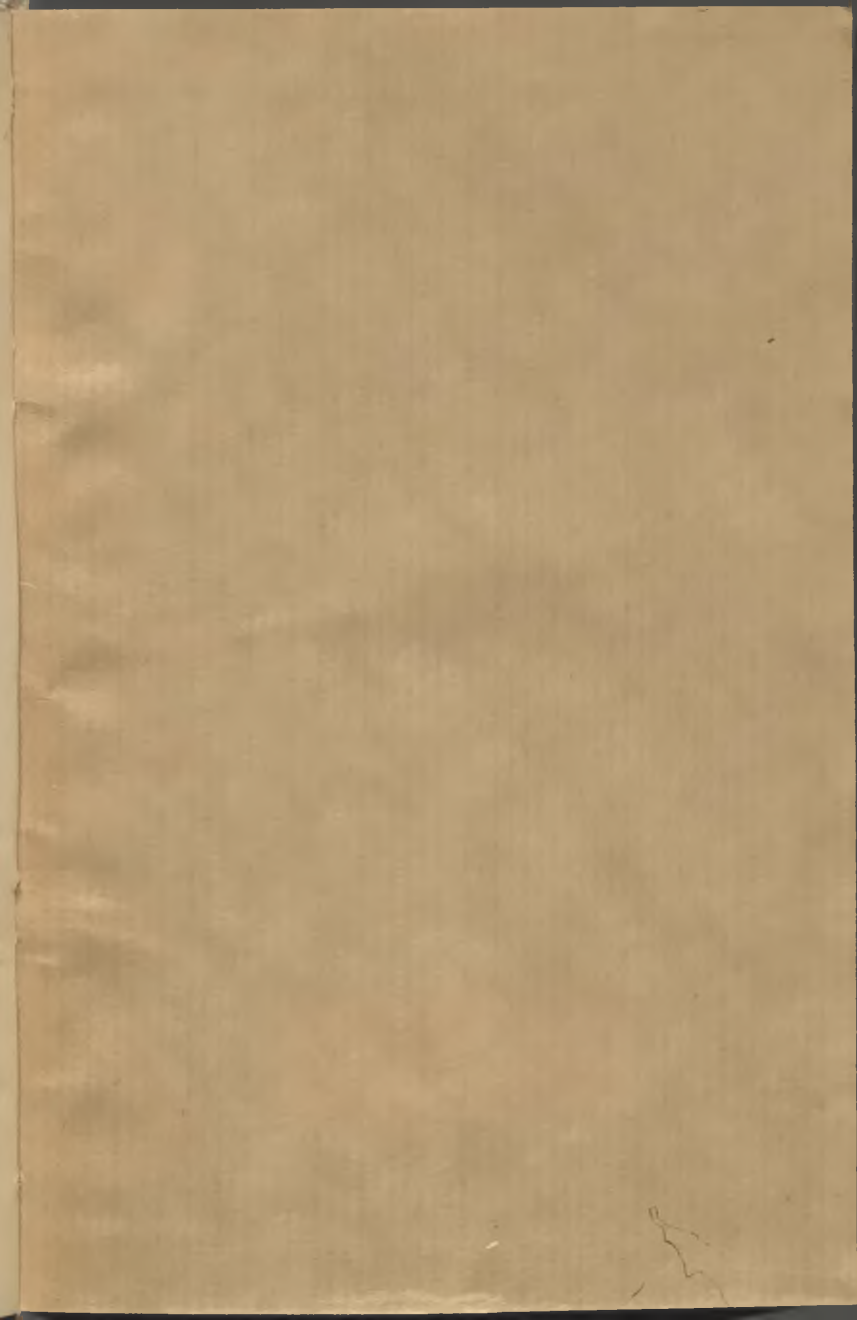
	Str.
wolno. — Zależność osobista od cenzury. — Stosunki zagraniczne.	98
VIII. Nauka i literatura	87
Warunki polskiej pracy naukowej w War- szawie. — Brak katedr, laboratoryów i bi- bliotek. — Uczeni warszawscy. — Powieścio- pisarze i poeci. — Twórczość polska wobec cenzury i prasy warszawskiej. — Cenzura jako czynnik artystyczny. — Konieczność wyzwolenia twórczości narodowej z więzów cenzury rosyjskiej.	
IX. Prasa	98
Ilość czasopism i wartość ich. — Poczytność dzienników. — O czym się w nich pisze. — Bezsilność prasy. — Czytelnicy chronią od zbożeń. — Upadek publicystyki. — Nie- zdrowe stosunki.	
X. Świat artystyczny	109
Czy Warszawa może być ogniskiem sztuki?— Wypiański i Przybylski. — Kultura kra- kowska i warszawska. — Polityka tea- tralna. — Scena ludowa. — Muzykalność Warszawy. — Hotel muzyczny. — Malarstwo i rzeźba. — Przyszłość sztuki w Warszawie.	
XI. Stan umysłów	122
Apolityczność umysłów. — Literackie trak- towanie spraw politycznych. — Rola prasy w chaosie pojęć. — Mrok niewiedomości. — Uczuciowość społeczeństwa i jej pierwiastki dramatyczne. — Zachód zakordonowy i wschód rosyjski, jako źródła optymizmu narodo- wego. — Poczucie siły i wyższości. — Sto- sunek uczuciowy do rodziny słowiańskiej.	

XII. Perspektywa

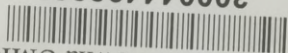
Stosunek duchowy Warszawy do innych dzielnic polskich. — Potrzeba krytycyzmu w ocenianiu jej roli narodowej. — Rozstrój myśli politycznej i cywilizacji pod uciskiem rządu rosyjskiego. — Czy Warszawa może brać na siebie legalnie akcyę polityczną? — Potrzeba tajnej organizacyi narodowej. — Widoki na przyszłość.



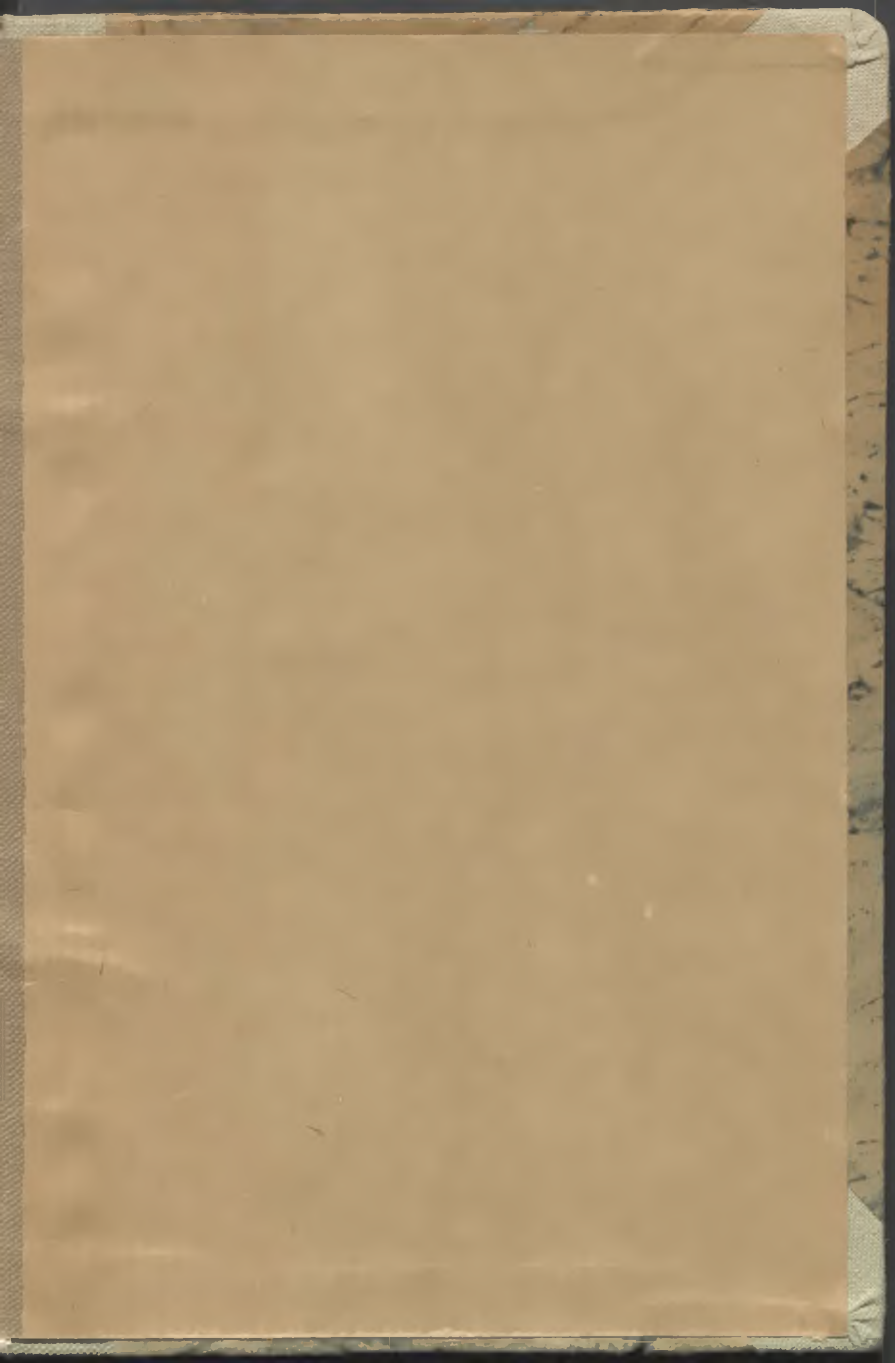
XI. Przemysł
X. Świat artystyczny
IX. Stan umysłu



Biblioteka Główna UMK



300044493328



Biblioteka Główna UMK



300044493328